CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR.

ROK XXII

ŚWIAT

№ 53

WARSZAWA, DNIA 31-go GRUDNIA 1927 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

Na przełomie Starego i Nowego Roku

Wskrzeszone Państwo Polskie rozpoczyna dziesiąty rok istnienia.

Jeśli cofniemy się myślą wstecz, jeśli przypomnimy sobie, w jakich okolicznościach i warunkach tworzyła się przed 9-u laty nasza państwowość, — i jeśli porównamy ówczesny stan z dzisiejszym, — w serca wstępuje otucha. Zaiste, naród, który potrafił wykazać tyle zapału, energji i patrjotyzmu, godzien jest niepodległego bytu. Mogą sobie nasi uparci pesymiści jęczeć i krakać po kątach: nikt rozsądny nie uwierzy im. Pomyślny rozwój państwa bije w oczy. Stwierdza go szczegółowo odezwa przedstawicieli sfer gospodarczych wszystkich ziem Rzeczypospolitej, reprezentujących najróżniejsze kierunki polityczne. A wraz z tym pomyślnym rozwojem stosunków wewnętrznych rośnie autorytet Państwa Polskiego na zewnątrz. Wymownie świadczył o tem przebieg ostatniej Konferencji Genewskiej. Nawet najbardziej nieprzejednani wrogowie ucichli i nie wspominają już o „Państwie sezonowem".

Prawda, rozterki i walki wewnętrzne nie ustały. Czyż one kiedykolwiek mogą ustać? Mogą umilknąć w chwili ogólnego niebezpieczeństwa. W czasie normalnym są dowodem — często niepotrzebnie jaskrawym — żywotności narodu. Albowiem ustrój społeczny, w którym nie ścierałyby się różne prądy, w którym idea postępu nie walczyłaby z konserwatyzmem tradycji, — byłby martwym, nie miałby w sobie zaczątków nowego, twórczego życia. Powstawać należy przeciw metodom tych walk, które bywają nieraz obmierzłe, ale nie przeciw samym walkom, z których tworzą się nowe kształty życia.

Jeszcze raz naród polski wykazał tę siłę, którą Mochnacki nazywał siłą dźwigania się z każdego upadku. Nie bądźmy zbyt skromni: tę moc wewnętrzną, plemienną, która przez długie lata pozwoliła nam odpierać zagładę niewoli, naród polski wykazał w trudniejszym jeszcze okresie odbudowy. Więc dalej do pracy! Zmagajmy się zwycięsko z trudnościami i przeciwnościami. Niech każdy rok nowy nowe gromadzi wartości!

Roku Nowy! Co nam przyniesiesz w dorobku!

RED.

Probiernia nowych wartości

Aleksander Świętochowski, znakomity nestor pisarzy polskich, zaszczycił „Świat" artykułem, w którym omawia ważną organizacyjną sprawę naszego życia codziennego.

Wszyscy czytelnicy a zwłaszcza czytelniczki pism perjodycznych znajdują się w stałym kłopocie: między ogłoszeniami spotykają często ponętne doniesienia o jakimś nowym wynalazku, oszczędzającym czas, pracę i koszt, a ponieważ szumna reklama zawiodła nieraz ich zaufanie i naraziła na stratę wydatku, przeto nie wiedzą, co począć. Skusić się i jeszcze raz zaryzykować, czy też oprzeć się pokusie? Jest to sprawa bardzo ważna, a obecnie skutkiem trudnych warunków życia, rujnującej drożyzny i potrzeby oszczędzania się nabiera wielkiego znaczenia społecznego. To też narody mądre i praktyczne postarały się rozstrzygnąć ją z niewątpliwem bezpieczeństwem i korzyścią.

Związek gospodyń Rzeszy niemieckiej — opowiada znakomity miesięcznik, wydawany przez nasz Instytut naukowej organizacji p. t. „Organizacja gospodarstwa domowego" — pozyskawszy Radę m. Lipska i udział kilku ciał naukowych, powołał do życia Instytut doświadczalny, którego celem jest badanie wartości użytkowej wszystkich nowych przedmiotów, zalecanych przez ogłoszenia i wprowadzonych do sprzedaży. Badanie to orzeka: czy produkt zapewnia oszczędność czasu i pracy, czy nie wpływa źle na zdrowie, czy wykonany został z właściwego materjału i odpowiada celowi, czy ma cenę sprawiedliwą i czy nie przynosi szkody niemieckiemu gospodarstwu narodowemu. Instytut drukuje swoje opinje w osobnem czasopiśmie, zachowując bezwzględnie tajemnicę wytwórcy. Po trzymiesięcznej próbie (za opłatą 70m.) wydaje mu „cechę" ważną w ciągu trzech lat. Zastrzega sobie jednak prawo poddania przedmiotu nowej próbie i cofnięcia „cechy", gdyby on w jakimkolwiek względzie nie odpowiadał żądanym warunkom. Do Rady Instytutu oprócz specjalistów należą gospodynie. Według dotychczasowych wykazów, tylko trzecia część zbadanych przedmiotów odpowiadała wszystkim wymaganiom, ale Instytut udziela wskazówek poprawy wyrobów. Nad jego rozwojem czuwa kuratorjum, złożone z przedstawicieli państw, miast, przemysłu, handlu i Związku gospodyń.

Nie potrzebuję dowodzić czytelnikom wielkiego pożytku tej instytucji. Bezwątpienia każdy z nich złapał się w sidła reklamy, każdy zawiódł się w swej nadziei, każdy zapłacił daninę oszukaństwu, każdy marnuje czas, wydatek i pracę w nabytym przedmiocie nieodpowiednim lub niesumiennym, nie znając innego, który by mu oszczędził straty, a dał korzyść. Łamy czasopism roją się od niezliczonych wynalazków, specyfików, produktów ratujących równowagę najskromniejszych budżetów domowych, uwalniających stroskane głowy gospodyń od zmory drożyzny. Ile w tych krzykliwych reklamach, jarmarku nowości jest prawdy i pożytku, wiedzą tylko ci, którzy zaryzykowali kupno i często drogo zapłacili za odwagę i łatwowierność. Z tych rozczarowań, zawodów, smutnych i kosztownych doświadczeń zbierają się ogromne sumy, które społeczeństwo płaci spekulacji, podczas gdy przedmioty istotnej wartości daremnie usiłują przedostać się na szeroki rynek. Inteligencja ma w swej wiedzy niejakie sposoby zabezpieczenia się od omyłek i podstępów, ale jakże zwodzony przez niewiadomość i wyzyskiwany przez złą wolę jest nieoświecony lud! Zgroza przejmuje, gdy patrzymy, co spożywają i czem się odziewają wieśniacy, co dla nich bywa przysmakiem, strojem lub przyrządem! Kupuje sobie w miasteczku młody chłopek strojny garnitur niby z wełny a w rzeczywistości z włókna pokrzyw lub lichej bawełny, który mu starczy zaledwie na kilka tygodni, a po jednym deszczu rozłazi się zupełnie. Dziewczyny wiejskie sprawiają sobie lakierowane buciki z tektury i dziwią się, że one nie wytrzymują jednej podróży do kościoła po wilgotnej drodze. Tak lub inaczej, miljony ludzi oszukują się w swych sprawunkach, bo nikt i nic ich nie ostrzega.

Ale sprawa ta ma dla nas jeszcze drugie znaczenie. Śród bezrobotnej lub biedującej inteligencji na szczególną uwagę i ratunek zasługuje młodzież akademicka. Jej głodowa niedola zjawia się ciągle, jak widmo, na łamach prasy, a niedawno wplotła się nawet w tematy rozpraw Zjazdu naukowego. Otóż mojem zdaniem, do pracy w tym Instytucie doświadczalnym należałoby powołać studentów. Oczywiście, ta praca da zajęcie tylko niewielkiej ich liczbie i nie rozwiąże kwestji materjalnego uposażenia młodzieży akademickiej w szerokich ramach, ale zarówno jej, jak społeczeństwu zapewni poważne korzyści. Naprzód jednostki zdolne postawi przy warsztacie związanym z ich studjami naukowemi i rozszerzającym ich wiedzę. Młody chemik lub technolog, zmuszony obecnie zarabiać udzielaniem lekcyj filologicznych, przepisywaniem na maszynie, grywaniem w orkiestrach restauracyjnych lub jakiemś innem niewłaściwem i przytępiającem jego umysł zajęciem, otrzyma takie, które nietylko leży w obrębie jego specjalności, ale nawet ją zbogaca. Powtóre, społeczeństwo otrzyma do obsługi swych ważnych potrzeb pracownika rzetelnego, najmniej dostępnego pokusom do nadużyć.

Łatwo zrozumieć, że instytucja decydująca o interesach chciwych powodzenia, otwierająca lub zamykająca drogę zbytu produktom spekulacyjnym, zapewniająca przedsiębiorcom znaczne zyski lub straty, jest wystawiona na wysilone ich zabiegi i przekupstwa. Jest to atak, któremu może się oprzeć tylko nieskażona i zahartowana uczciwość. Z wielu przykładów wiemy, że te starania i uwodzenia często osiągają swój skutek, i że instytucja, mająca walczyć ze złem, staje się jego opiekunką, a wtedy społeczeństwo pada ofiarą spotęgowanego oszustwa. Jest to faktem stwierdzonym i zrozumiałym, że ludzie starsi, bardziej pozbawieni skrupułów w walce o byt i znieczuleni we wrażliwości moralnej, są dostępniejsi pokusom łatwego i nieprawnego zarobku, przeciw którym młodzi są zabezpieczeni niewytrawionym jeszcze przez życie idealizmem. Pod tym względem mamy bardzo wymowne dowody i bardzo smutne doświadczenia. Tylko wielkie przeniewierstwa, których nie może zatopić nawet głęboka tolerancja, wypływają na wierzch; mniejsze toną, ale pozostawiają po sobie wspomnienie w półgębkowej lub szeptanej opinji. A rzec można bez przesady i niesprawiedliwości, że u nas nieprzekupność jest cnotą rzadszą, niż gdzieindziej.

Zalecając wciągnięcie młodzieży akademickiej do pracy w instytucji kontrolującej i oceniającej wartość ogłaszanych przedmiotów spożycia, nie myślę, ażeby te czyste, ale niedość jeszcze wykształcone siły były jedynymi w niej czynnikami. Zwierzchni dozór i naczelne kie-

rownictwo musi spocząć w rękach dojrzalszych. Zarówno ciała rządowe, jak społeczne, na podobieństwo wspomnianej organizacji niemieckiej, powinny wziąć w niej udział. W jakiej mierze, określać tu szczegółowo nie będę, gdyż w tym głosie chodzi mi tylko o zaznaczenie dwóch zasadniczych punktów: potrzeby stworzenia instytucji i zatrudnienia w niej odpowiednio uzdolnionych pracowników młodych.

Gdyby to być miało według biurokratycznego modelu zrobione laboratorjum dla stworzenia posad kandydatom protegowanym, bądź nieudolnym, bądź łatwo wyciągającym ręce po datki za niegodziwe usługi — niech raczej cała sprawa pozostanie w dotychczasowym stanie gry spekulantów na loterji niewiadomości i łatwowierności ogółu. Lepiej będzie, gdy nie powstanie nic, niż gdyby to coś stało się nowym przybytkiem nadużyć i zepsucia.

Aleksander Świętochowski

Władysław Skoczylas, malarz i grafik

Wśród artystów polskich młodszego pokolenia należy Władysław Skoczylas do najbardziej znanych; wśród tej części oświeconego wPolsce ogółu, który interesuje się sztuką głębiej, prawdziwie i szczerze, cieszy się Skoczylas ogromną wziętością.

Wielką swoją popularność zawdzięcza Wł. Skoczylas zarówno w Polsce, jak i zagranicą, głównie swym pracom graficznym, akwafortom, a nadewszystko drzeworytom. Wypowiada się w nich artysta za pośrednictwem odrębnej zupełnie formy, która nawiązuje po części do tradycji dawnej sztuki ludowej polskiej, w grafice, specjalnie w drzeworycie, stosuje zasady techniki i kompozycji, właściwe prymitywom sztuki drzeworytniczej w XV i XVI stuleciu.

Za temat do swoich drzeworytów, których wykonał już sto kilkadziesiąt, obiera sobie Skoczylas ze szczególniejszem zamiłowaniem dawne legendy ludu podhalańskiego, żyjącego w Tatrach (jak np. opowiadania o popularnym zbójniku tatrzańskim, Janosiku) albo też współczesne typy i sceny z życia tego ludu.

Górale tatrzańscy, więcej niż lud polski w jakichkolwiek innych stronach, zachowali w pierwotnej czystości dawny strój, dawną ornamentykę (w zdobnictwie najrozmaitszych sprzętów, wyrabianych nieraz po mistrzowsku z drzewa), oraz wiele dawnych obyczajów a nawet zabobonów. Wszystko to razem składa się na to, że utwory Skoczylasa, osnute na powyższych motywach, mają w sobie ogromnie wiele czysto polskiego, narodowego pierwiastka.

Zapewne, sam temat nie decyduje nigdy o wartości artystycznej jakiegokolwiek dzieła sztuki. Świeży jednak i odrębny temat, ujęty w prawdziwie artystyczną i niezbanalizowaną formę, daje zazwyczaj w wyniku utwory tak ciekawe i charakterystyczne, że zwracają one łatwo na siebie powszechną uwagę.

Tak ma się właśnie rzecz z utworami Wł. Skoczylasa. Zarówno utwory jego graficzne, jak i akwarele, są wyraźnie stylizowane i z pospolitym naturalizmem nie mają właściwie nic wspólnego.

Zasady, na których opiera się artysta w komponowaniu swych drzeworytów, odpowiadają niemal zupełnie ściśle zasadom rozmieszczenia ornamentu płaskiego w granicach prostokątu czy kwadratu. Akwarele jego oparte są zawsze na motywach zaczerpniętych wprost z natury, jak np. widoki jego z uroczej dawnej mieściny, Kazimierza nad Wisłą.

Skoczylas transponuje jednak dowolnie te motywy na odrębny język własnej plastycznej formy, nie trzyma się bynajmniej jakichkolwiek naturalistycznych kryterjów w użyciu skali barw; konstruuje on swe akwarele w sposób syntetyczny, operuje poszczególnemi walorami barwnemi tak, ażeby powstała z nich silna kolorystyczna całość, której części, fragmenty dobrze nawzajem się równoważą. W tem



właśnie ma głównie swe źródło ów specyficzny pierwiastek fantazji, poetyckiej bajki, który cechuje silne w kolorze akwarelowe obrazy Skoczylasa.

Przemawia z nich bezpośrednio do widza przedewszystkiem ciekawa artystyczna indywidualność malarza, nie zaś sam tylko motyw, temat.

Wystawiona niedawno w Domu Sztuki (przy ul. Chmielnej) kolekcja kilkudziesięciu akwarel, obejmowała — z wyjątkiem kilku zaledwie obrazków figuralnych — prawie wyłącznie motywy pejzażowe, zwłaszcza architektoniczne, a mianowicie z Włoch (Orvieto, Chianti i in.) i z Polski (Sandomierz, Krzemieniec, Kazimierz nad Wisłą).

Wspomniany już powyżej element bajki występuje i w tych akwarelach na jaw w bardzo wyrazistej formie. Poszczególne widoki włoskich i polskich miasteczek posiadają bezsprzecznie wprost fantastyczny charakter. Artysta wyszukuje bardzo ciekawe zaułki, stare, walące się rudery i umie nadać im specyficzne jakieś piętno, które czyni, że wszystkie te fragmenty budowli, uliczek i zakątków nabierają cech odrębnego i własnego życia, niepozbawionego czaru poezji.

Wł. Skoczylas traktuje przytem poszczególne motywy zupełnie swobodnie, nie licząc się bardzo często nawet z ogólnie znanemi prawami statyki architektonicznej i perspektywy; jeśli zaś o samą fakturę malarską idzie, swoboda ta niejednokrotnie przechodzi w całkowitą dowolność, która świadomie zrywa z wszelkim naturalizmem.

W stosunku do analogicznych wystaw Wł. Skoczylasa w poprzednich latach, można stwierdzić w pracach ostatnio wystawionych wielki krok naprzód pod względem wartości kolorystycznych. Akwarele te utrzymane są naogół w jaśniejszej skali barw, poszczególne tony barwne występują w formie bardziej czystej, aniżeli dawniej. Większa też jest plastyka, bryłowatość malowanych objektów, przy tym samym zresztą nader szybkim a szerokim sposobie prowadzenia pędzla.

Wł. Skoczylas zarówno w grafice, jak i w akwareli, potrafił zdobyć się na swój własny styl. Można się spodziewać, że z czasem potrafi też artysta ów swój styl malarskiego sposobu wypowiadania się jeszcze bardziej pogłębić i wzbogacić w nowe środki ekspresji.

Mieczysław Treter

PRACE ARTYSTY MALARZA W. SKOCZYLASA



W. Skoczylas — *Kazimierz nad Wisłą*



W. Skoczylas — *Motyw z Krzemieńca*

Fot. J. Wołyński



NA POLOWANIU W BRAZYLJI

Przez knieje, przez las, puszcze i zagaje, poprzez rzeczne przeprawy....

Jesteśmy u celu.

Jaao Dayrell Ferreiro, właściciel fazendy Vereda, której okolice miały być terenem i dekoracjami naszego polowania, zaczął już na ostatniej przeprawie pełnić rolę gospodarza, w brazylijskiem znaczeniu tego słowa. Gościnność swą — niespotykaną — posunął do tego, że brodząc po piersi w wodzie, popychał tratwę, którą przeprawialiśmy się na jego brzeg. W miejscach głębokich płynął obok, manipulacje te powtarzając za każdym nawrotem po samochód. Były cztery wozy.

Vereda jest fazendą hodowlaną i różni się bardzo od kawowych, rozrzuconych w bogatym stanie San Paulo.

W posiadłościach paulistańskich domy mieszkalne przypominają nasze dwory lub dworki, fazendy hodowlane natomiast, choć częstokroć rozporządzają dużemi przestrzeniami (majątek obejmujący do stu kilometrów kwadratowych nie jest rzadkością), nie posiadają nietylko kultury naszych dworków szlacheckich, ale nawet jako takich domów mieszkalnych.

Kultura rodzi się z cywilizacji, cywilizacja rozwija się w zgęszczonych skupiskach ludzkich. Samotność sprzyja kontemplacji, albo skromnym potrzebom; w interjorze Brazylji, na wsi, nie często zdarza się mieszkańcom widzieć swych sąsiadów. Żyją samotni wśród czarów dzikiej przyrody, hodują bydło, które idzie setkami kilometrów, gnane na targ przez półdzikich synów *sertaonu—cabokli.*

Domy fazenderów urągają często prymitywom; chaty bez sufitów, dach nad kojcami, w których sypia się w hamakach lub na pryczach. W zamożniejszych domkach znajdzie się sufit pleciony z kokosowej rogoży i kuchnia w szopie na palach, poza izbami mieszkalnemi, zastępująca zwyczajne ognisko.

W ogrodzeniu stoi tabun koni, bydło błąka się zdziczałe wśród kniei, chwytać je trzeba na lassa.

.....

Szarawe światło przenikało przez otwory w murze, zastępujące okna, mieszając się z dogorywającym blaskiem kaganka; na podwórzu, przy wygasającem ognisku leżały psy, małe, ciemno-żółtawe, niezwykle wytrzymałe i na zwierza zajadłe, gdy murzyn, nucąc daleką, może przez pradziada z Afryki, na niewolniczej galerze przywiezioną, piosenkę, wszedł do domostwa — zaśmiał się i krzyknął:

— Już dzień.

Zeszliśmy z prycz i hamaków.

Psy, powiązane po parze, podbiegają pod dom, niespokojne. Gromadzą się przy tych, którzy wyszli opatrzeć broń. Na ludzi bez strzelby ani spojrzą.

Czarny Josoe niesie na wielkiej tacy grubo krajaną bułkę pszenną, filiżanki i dzban mocnej, czarnej kawy.

Usiadłem na kamieniu; nie wydał mi się bardziej twardy, niż łoże, na którem, ku uciesze i pożytkowi komarów, spałem ubiegłej nocy. Josoe dał mi kawy; piłem, oglądając cabokli, którzy w okolniku łapali na lassa rozbiegane konie, siodłali w wygodne siodła o strzemionach, skórą zakrywających połowę stopy.

Koniki brazylijskie, z pozoru nic nie warte, małe, apatyczne, są przedziwnie rącze i wytrzymałe. Nie widziałem, by dawano im jeść. Pasą się w nocy, zdobywając pożywienie własnym przemysłem. Dzień cały, nie znając kłusa, idą przeważnie galopa lub skrocza, w skwarze dochodzącym pod siedemdziesiąty stopień Celsjusza. Dzielne wierzchowce nie rozumieją wymowy uzdy, kieruje się niemi zbójecko długiemi ostrogami. Dzięki tej szkole jazdy, ręce są wolne, co umożliwia przecinanie gałęzi i trzymanie strzelby, która, gdyby ją przewiesić przez ramię, roztrzaskałaby się o gałęzie, w wązkich, niskich korytarzach *picad* leśnych.

...

Jest już jasno.

Świtu niema prawie po tamtej stronie równika; jasność, co wyszła z wyiskrzonego w gwiazdy nieba, oblała całą gamą świateł nasz skromny domek, wyzłociła rozrzucone po podwórcu kamienie.

Trąbka zagrała.

Psy ujadając zgromadziły się wokół prowadzącego naganiaczy i wraz z nim, parami, jak grzeczne pensjonarki, ruszają w las.

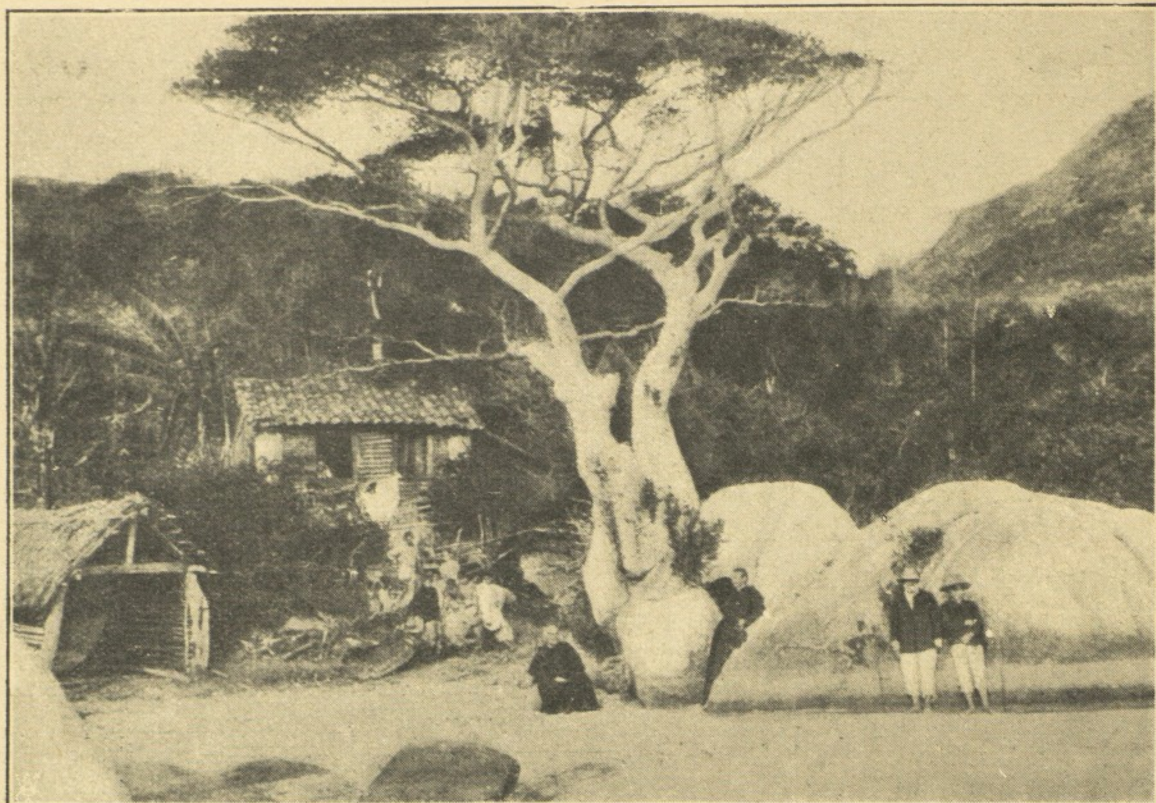
Po chwili inną drogą wyjeżdżają myśliwi.

Wszystko dokoła nas skrzy się i srebrzy, nabiera coraz to jaśniejszych barw, powietrze drga, jakby każda jego cząstka z radosną bojaźnią przyjmowała w siebie promienie i złoto-rdzawe okruchy słonecznego blasku.

Droga wiedzie skroś poplątany zagaj, potem przez las, pełen osobliwych drzew, czasem, rzadko,



Mały czerwonoskóry wojownik ze szczepu Botokudzi zaprawia się do rycerskiego rzemiosła, nosząc za matką strzały do łuku



Fazenda w Seartonie brazylijskim

z drzewa na drzewo, tak jak u nas wiewiórka, skoczy małpka, popatrzy ciekawie na konnych i niknie, czasem jaszczurka przemknie się pod kopytami koni.

Krzaki ipekakuany, magnolje, sosna rozłożysta, jak palma, w niebo wpatrzona — pinkor, karru, carambola, wszystko to owite lianami, skwarne, duszne, tworzy jakby bok przedziwnej dekoracji, wzdłuż której biegnie droga.

Nasi towarzysze migocą w słońcu opalonemi twarzami, za nami asysta cabokli, o strasznych napozór licach, z dobrodusznym uśmiechem, papierosem w tutce z kukurydzowego liścia. Obdarci, bosi, a uzbrojeni w antyczną broń i noże —wyglądają i cudacznie i sympatycznie.

Jesteśmy nad jeziorem.

Za nami las drzew małych, o twardym pniu, gdzie papugi bez przerwy drą się ochryple, za jeziorem las duży, wysoki — tropikalny bór.



Ksiądz misjonarz z oswojonym małym tapirem

Palmy nad wodą ustawiły się symetrycznie, tworząc ochronę falującego w słonecznych blaskach jeziora, same przez wodę od zeschnięcia chronione.

Czasem na tafli, na złoto-niebieskiej skrzącej tafli, wypluśnie krokodyl, świat strasząc swą cynicznie niemądrą paszczą, czasem nad wodą ptak jakiś przeleci.

Gwarliwy poszum puszczy, jednostajny, przerywany mocniejszym akordem ptasiego świergotu, lub nagłem skupieniem się w sobie — cichością tak nadludzką, że na chwilę się wydaje, że oto zamarło wszystko w tej modlitewnej bezszmernej ciszy, poszum puszczy uspakaja — koi.

Słonko praży coraz potężniej, powietrze zamiera w bezruchu, las wydaje z siebie wonie przedziwne. Konie powiązane u drzew stoją znieruchomiałe. Strzygą uszami.

Psy czasem z daleka zagrają, po przeciwległej stronie jeziora: tam zaczęła się już obława.

Czasem nadleci caboklo, coś krzyknie, wtedy na koń, i w pełnym galopie zmieniamy stanowiska.

Koło południa, gdy upał dosięga swego kulminacyjnego punktu, psy słychać coraz wyraźniej, coraz bliżej.

Coraz częściej zmieniamy stanowiska, coraz mocniej praży słońce.

Serca walą.

Tocząc w karjerze koniem, nadjeżdża prowadzący łowy.

— Mamy tapira! — woła.

Ga - a - a - lop.

Czekamy...

Nagle, w blaskach stusłonecznych, skrząc się, jak miedziana kula, wytoczył z przeciwległego lasu swe szaro stalowe niezgrabne cielsko tapir.

Moeta psów po jego bokach, za nim, z nim, skowycze, targa, napełnia las przejmującym ujadaniem. Spłoszone papugi latają nad nami, drąc się opętańczo.

Tapir wskoczył w wodę. Płynie. Psy eskortują go po bokach, uniemożliwiają fortele.

Zziajane są, jak i on.

Z lasu wynurzyli się naganiacze. Zwierzę chce manić psy — kołuje.

Na mojem stanowisku ze strzelbą na ramieniu i kodakiem w ręku, patrzę na ten obraz — rozumiem pasję myśliwych i wzrokiem sugeruję dalekiego jeszcze tapira, altruistycznie kierując go poza obręb mego strzału.

Tapir pruje wody, czasem zawróci, kłapnie zębami psiaka, daje raptem susa w bok. Widać go coraz wyraźniej — myśliwi przywarli do palm.

Gruchnęło. —

Zwierz zanurzył się i znów wypłynął. Psy, jakby rozumiejąc, że ich rola skończona, osłabły w pływaczym pędzie.

Rozległ się drugi strzał, echem odbity po wielokroć.

Wyjrzałem z za palmy.

— — — — — — — — —

Senator Eryk Kurnatowski pokazał brazylijczykom, jak to się strzela na osiemdziesiąt metrów.

— — — — — — — — —

Wracamy na fazendę, znów czarna kawa, trochę czarnej fasoli i popieprzonej suto kury, parę bananów upieczonych w oliwie i — na koń:

Osaczać jaguara. —

Janusz Makarczyk



„Ucho igielne", zbiór poezji, wyróżniony Nagrodą Państwową

Nareszcie doczekał się i Leopold Staff, prawy, szczery poeta, że włożono mu na skroń ten skromny laur, jakim jest państwowa nagroda literacka. Wieść ta nie wzbudziła opozycji. I nic w tem dziwnego, choć Staff trzyma się zdala od modnych dziś, zorganizowanych, przewidujących, kalkulujących koterji. Zwyciężył, bo i jak nie podać serca wibracji jego zwierzeń smętnych, zadumanych, docierających do najtajniejszych zakamarków duszy. Powierzył nam przecież jedną z najgłębszych tajemnic:

„Kto szuka Cię, już znalazł Ciebie;
Już Ciebie ma, komu Ciebie trzeba!
Kto tęskni w niebo Twe, jest w niebie;
Kto głodny go, je z Twego chleba!"

Jakże olbrzymi, niestrudzony łuk rozwojowy pojęć, przeżyć, zachwytów, porażek przebył ten poeta o szlachetnym porywie uniesień, nim zawinął do tej cichej, ewangelicznej przystani! Pamiętamy przecież rzeźby jego słów, ryte w najdrogocenniejszym marmurze, gdy pokoleniu swemu rzucił tak mistrzowskie, niedosięgłe sonety, jak „Kowal", „Strażnik", „Nadmiar". Były to rewelacje sztuki przez zwartość i polot słowa. Młodzież literacka powitała je, jak pieśni własne. Nie było wtedy inteligentniejszego akademika, by nie powtarzał:

„Całą bezkształtną masę kruszców drogocennych,
które zaległy piersi mej głąb nieodgadłą,
Jak wulkan z swych otchłani wyrzucam bezdennych
I ciskam je na twarde, stalowe kowadło.
Grzmotem m'ota w nią walę w radosnej otusze,
Bo wykonać mi trzeba dzieło wielkie, pilne,
Bo z tych kruszców dla siebie serce wykuć muszę,
Serce hartowne, mężne, serce dumne, silne!"

Później ukazały się „pieśni włóczęgi", które również wywołały zachwyt. Poemat o Twardowskim i całe girlandy liryków oczarowały pokolenie i były najsubtelniejszą spowiedzią serc... Nawet wiersze tak osobiste, jak znakomity „deszcz jesienny", uważano za realizację ogólniejszego nastroju dusz ówczesnych. Refren z „Mroku" snuł się wśród rozmów:

Hej! wicher wyje, a las zwiędły ginie,
Cichy krok śmierci słychać w uschłej trawie...
Chłop się powiesił w opuszczonym młynie....
Dziewczyna dziecko utopiła w stawie....

Nietylko te smętne tony przemawiały do wyobraźni. Gdy Staff dał swój zbiór „w cieniu miecza" — znów zawtórowały mu serca. Naogół jednak pieśń jego błądziła nostalgicznemi, zbolałemi szlaki. Twórca „Gałęzi kwitnącej" próbował swoich sił i w dramacie. „Skarb", „Godiwa", „Igrzysko",



Leopold Staff

„Południem", „To samo", interesujące w książkach, nie utrwaliły się na scenie. W dorobku swoim poetyckim Staff posiada zgórą dwadzieścia zbiorów wierszy. Jest to trud zazdrości godny i winien być dla nowej generacji poetów przykładem. Mamy przecież teraz znakomitości, pieczętujące się trzema broszurkami a pretendujące już do akademji.

Trud literacki Staffa obejmuje również liczne, pożyteczne przekłady. Wystarczy przypomnieć choćby sonety Michała Anioła lub teraz wydany zbiór „Favole" Leonarda da Vinci, by zdać sobie sprawę z ambicji artystycznych twórcy „Ucha Igielnego"...

Ton tego zbioru poezji jest nawskroś kontemplacyjny. Po latach burz, poszukiwań, buntów słodkie wyznanie prostego, człowieczego serca:

„Wyszedłem szukać Ciebie o świcie i w trwodze,
nie znajdując, myślałem, żem szedł drogą kłamną;
I spotkałem Cię, kiedym odwrócił się w drodze,
Bowiem przez całe życie krok w krok szedłeś za mną".

Jest ciekawe, iż w całym zbiorze „Ucho Igielne" nie ma ani jednego wiersza erotycznego. Od dłuższego czasu L. Staff nie znajduje na lutni swojej tych strun. Jeżeli mówi o miłości, to wyznanie to dotyczy „dębów, buków, lip, świerków, jesionów". Mówi przecież:

„Kochałem ciebie, Drzewo, kiedyś stało w lesie,
Dębe, bucze, lipowe, świerczane, jesionne —
Oblane miodem słońca, własnym chłodem wonne,
Korzeniem tkwiące w ziemi, czołem w nieb bezkresie".

Nagrodzony zbiór poezji zawiera siedem cykli wierszy na temat docierania do najgłębszych pokładów prawdy duszy. Jest to więc jakgdyby spowiedź szczera, uskrzydlona zadumą nad treścią świata i własnego serca. Przekonywują również utwory, zatytułowane „in memoriam". Jak pięknie Staff ujął w klamry wiersza syntezę duszy brata w Apollinie, J. Kasprowicza:

Runęła góra, runął dąb,
Dąb twardy, góra wzniosła.
O grób się pogłębiła głąb,
A wzwyż wyżyna wzrosła.

Zawarły się spiżowe drzwi,
Zapadły wieczne wrota,
A śmierć niszcząca żywot dni
Zwiększyła skarb żywota".

Wyróżnienie twórczości Leopolda Staffa, rzetelnego poety, ogół kulturalnego społeczeństwa polskiego przyjął z głębokiem zadowoleniem. Jest on przecież jednym z najdostojniejszych twórców starszego pokolenia. Dał literaturze naszej poważny dorobek poetycki, z którego możemy być dumni. Poezja jego posiada szlachetny ton brzmienia, piękny lot duszy. W bogatym swym dorobku artystycznym może się poszczycić utworami o nieprzemijającym walorze wysokiej, męskiej sztuki.

E. C.



PRIMABALERINA

O Halinie Szmolcównie, lekkiej, jak koliber, pięknej, jak promień słoneczny, wdzięcznej, jak wiosna, można powiedzieć, że tańczyła naokoło globu.

Pierwsze kroki, jakże zwiewne, stawiała na scenie warszawskiej, a potem Londyn, Paryż, obydwie Ameryki, Australja i ogromny ląd, zwany doniedawna Rosją, a obecnie Sowdepją, i znów Warszawa, i wszędzie oklaski, kwiaty, westchnienia zachwyconych widzów, owacje w dziesięciu językach. Ten uśmiech, za którym przepada nasza kapryśna stolica, widziały największe stolice świata i w każdej budził entuzjazm, opiewany prozą i nieraz wierszem. Ten wdzięk nieporównany starały się pochwycić aparaty fotograficzne najpotężniejszych pism ilustrowanych i w setkach tysięcy egzemplarzy roznosiły jego odbicie po najdalsze krańce ludzkiego władania. Nie przysiągłbym, czy w jurcie eskimosa, pachnącego tranem, nie leży na nocnym stoliku zeszyt „London News'a" z wielokrotnym portretem naszej ulubionej primabaleriny, i lękałbym się utrzymywać, że Abdel-Krim, wódz riffenów, nie wylepił sobie swego wojennego kufra wizerunkami tańczącej Szmolcówny, drukowanemi romańskim ludom na osłodę przez tygodniki francuskie i hiszpańskie. Krytyk jednego z egzotycznych Dominiów Wielko-Brytyjskich pisał, że olśnieni urodą polskiej tancerki monarchowie mogliby u jej stóp składać swoje korony. Tak, szanowny czytelniku, gdzieindziej są jeszcze krytycy, którzy się nie wstydzą swojego zapału; my wolimy ganić całą gębą, a pochwały cedzić dziurką po wypadłej plombie i to nie z zęba mądrości. Dwie nóżki Szmolcówny otoczone były w obcych krajach rozgłośną admiracją, ponieważ te dwie nóżki niosły między narody prawdziwą sztukę, najwykwintniejszy artyzm, poezję ruchu, albo raczej pieśń po wirtuozowsku śpiewaną nie uszom, lecz oczom. Bo taniec jest muzyką dla wzroku, muzyką niemą, muzyką oglądaną, i równie powszechnie rozumiana, jak sama muzyka. Poemat, powieść, dramat, musi być przełożony na obcy język, aby był zrozumiany w obcym kraju. Taniec nie potrzebuje przekładu. Beethoven, Bach, Chopin wszędzie jest grany w oryginale. Tak samo taniec. Wszędzie jest tańczony nie w tłomaczeniu, lecz w oryginale, nie wymagającym komentarza. Wszystkie stany duszy można wypowiedzieć przez taniec. Szmolcówna czyni to nietylko po mistrzowsku, czyni to pięknie. Jej „umierający łabędź" nietylko budzi w nas dreszcz prawdziwej grozy przed cieniem śmierci, obejmującym powoli wspaniałego ptaka, ale jednocześnie wprawia nas w podziw niezwykłą pięknością smutnego obrazu tej ágonji. A tańce tak zwane charakterystyczne! Któż potrafi je tańczyć z takiem oddaniem ich narodowego charakteru, z takiem ujawnieniem ich duszy rasowej! Halina Szmolcówna jako tancerka jest aktorką, gdy trzeba dramatyczną, gdy trzeba komedjową, albo rodzajową. Ma humor, dowcip i ma poczucie siły dramatycznej. Znakomicie tańczy zalotnice, kokietki, figlarki, wyborna jest jako złośnica i do głębi wzrusza w dramatycznych rolach tanecznych. W „Panu Twardowskim" Ludomira Różyckiego zmienia typy, jak Fregoli, interpretuje tysiąc dwieście kobiet jednego wieczora, jest narzędziem djabła, jest siecią szatańską, zastawioną na biednego mężczyznę, jest zjawiskiem, mieniącem się, jak tęcza, wszystkiemi powabami kobiety. W szesnastym wieku kontuszowym szlachcic wiedział przynajmniej, na co ma duszę! Sprzedał duszę za grubą gotówkę, za ocean wina dla siebie i dla panów braci (za Ocean Niespokojny!), za mnóstwo uciechi za baraszkowanie z kobietami zgoła nie na sentymentalnie nudny a tragiczny sposób Faustowski, zgoła nie na sposób niemiecki, ale z rycerską fantazją, a hucznie, i wreszcie orżnął djabła i, zamiast zjechać na wieczną mękę do Hadesu, założył polską kolonję na księżycu. W bujnym żywocie „Pana Twardowskiego" na baletowej scenie Halina Szmolcówna interpretuje metamorfozy kuszenia tego czarodzieja i czaruje wszystkich panów Twardowskich, zapełniających widownię, i nawet wszystkie panie Twardowskie. A to już jest szczyt tryumfu.

Jestem przekonany, że Halina Szmolcówna nie czytała Herberta Spencera, a jednak wie bez niego, że tajemnica wdzięku w tańczeniu polega na ukrywaniu wysiłku, z jakim trudny ruch jest wykonywany. Każdy ruch taneczny Szmolcówna wykonywa z precyzją zegarka szwajcarskiego i z taką łatwością, jakby dla niej inne panowały prawa natury, jakgdyby Newton palnął głupstwo, mówiąc o prawie ciążenia, jakgdyby jej piękne ciało mniej ważyło, niż ciało jej pięknych koleżanek, jakgdyby ją unosiły niewidzialne skrzydła. Tak, całe pasaże, długie fragmenty tańców primabalerina warszawskich Teatrów Miejskich pląsa nie na podłodze scenicznej, lecz, przysiągłbyś, nad samą sceną, w powietrzu, pięć cali nad sceną. Śniło ci się, szanowny czytelniku, kiedyś jeszcze nie był pełnoletni, że lecisz nad samą ziemią, nie dotykając perskiego dywanu, albo strzyżonej trawy, że fruniesz lżejszy od ptaka, leciutki jak owad, jak szklarz nadrzeczny, że lada chwila wzbijesz się nad domy i popłyniesz między białe obłoczki, wesoły, wszystkim życzliwy, szczęśliwy. Ten uroczy sposób fruwania bez skrzydeł tuż nad ziemią urzeczywistniła na jawie Halina Szmolcówna. Ona to robi tak naturalnie, że niejeden tłuścioch, siedzący w fotelu teatralnym, unosi podczas przedstawienia swoje stąpory i wyobraża sobie, że zaraz przeleci nad orkiestrą do Szmolcówny i razem z nią zacznie kołować nad klombem pana Wincentego Drabika ku zachwytowi całego korpusu dyplomatycznego w dzień abonamentowy. Tłuścioch, oczywiście, siedzi jak przykuty, ale za chwilę złudzenia głęboko jest wdzięczny rozkosznej tancerce. Wyszedłszy z teatru, dobija się do sklepu Mankielewicza i posyła primabalerynie piętnaście kilo brylantów. Żeby ją trochę obciążyć.

w. p. g.

ZAKOPANE W ZIMIE.



W dolinie Jaworzynce.

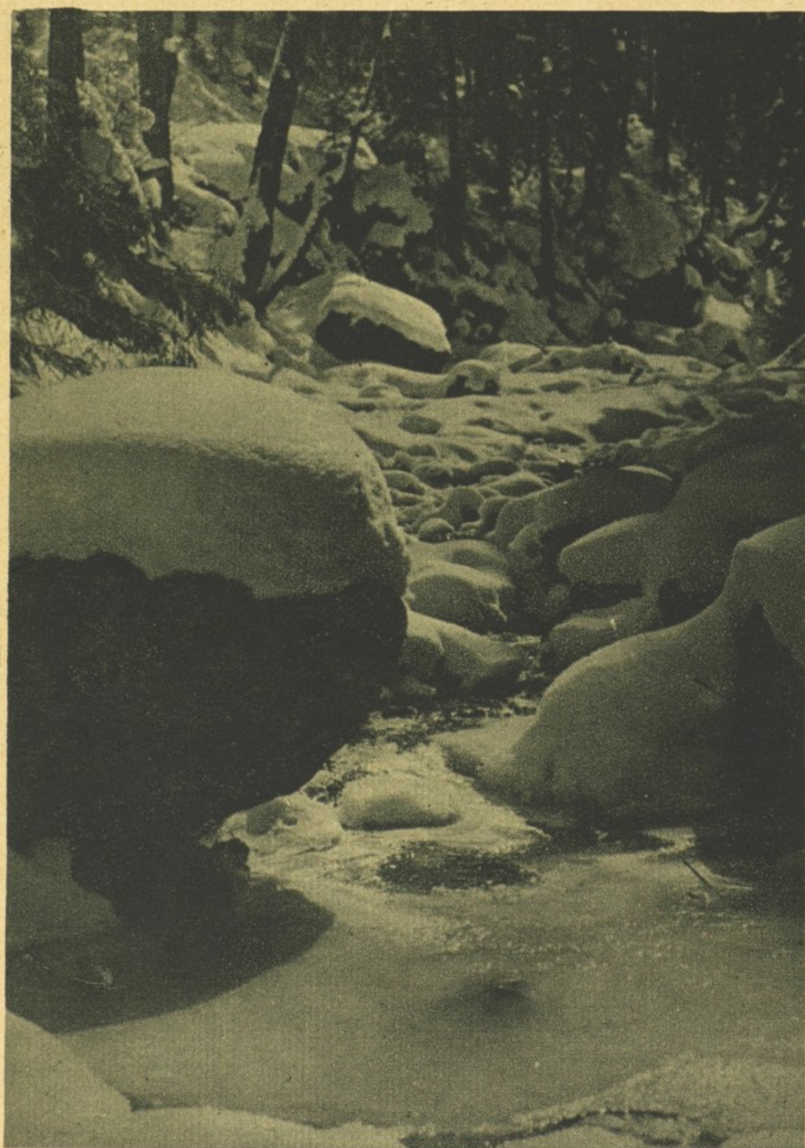


Motyw zimowy.

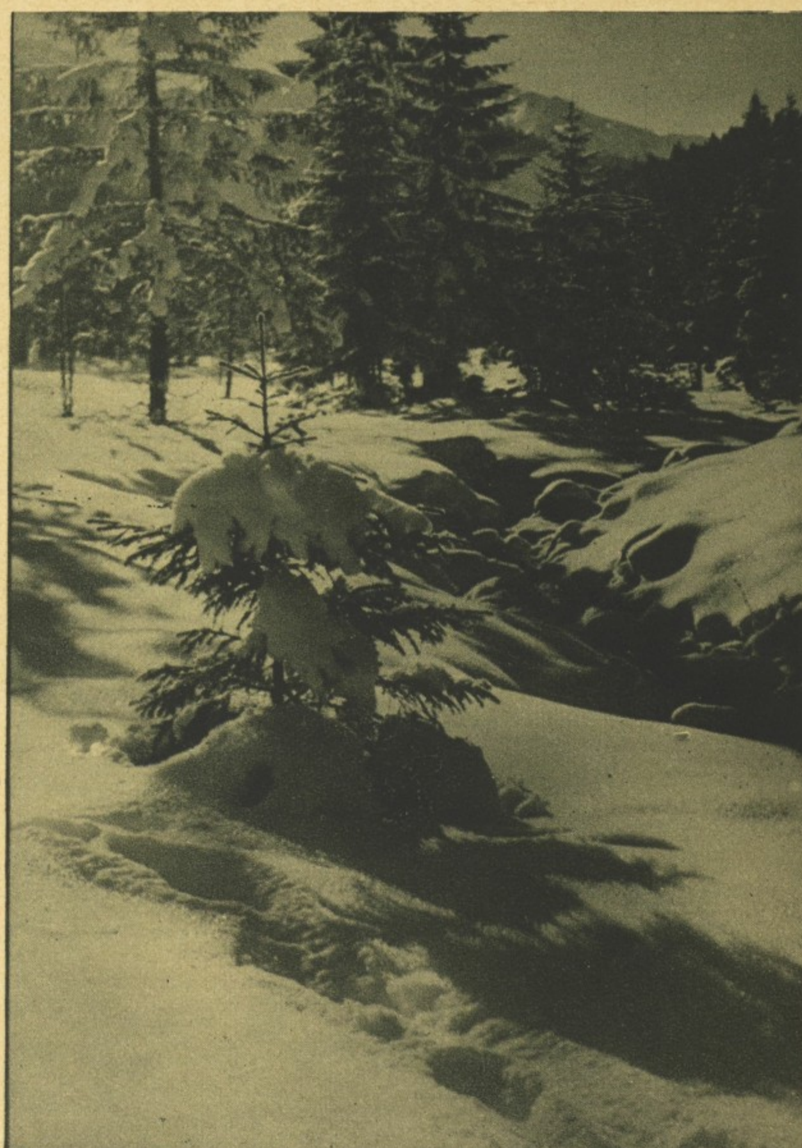
ZAKOPANE W ZIMIE.



Motyw zimowy.



W dolinie Białego.



Droga do Kuźnic.

WYSTAWA ZBIOROWA OBRAZÓW TADEUSZA PRUSZKOWSKIEGO.



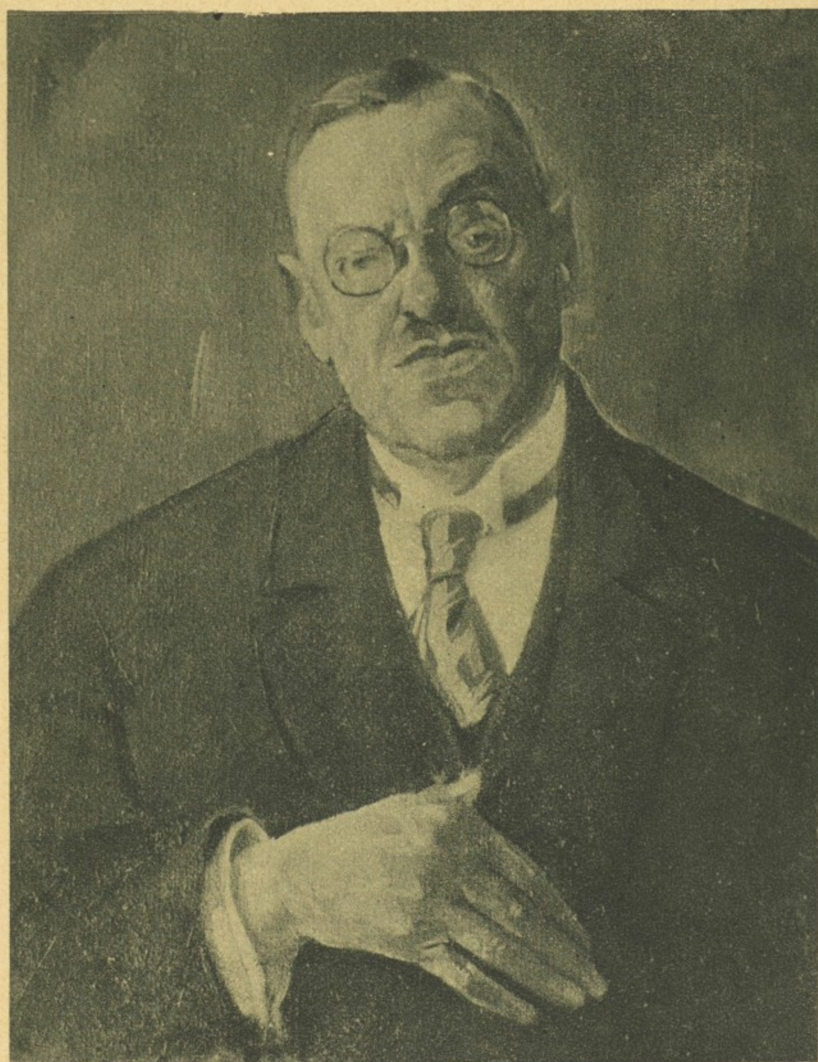
Uśmiech.



Portret pani Ministrowej Zaleskiej.



Nieśmiertelniki.



Portret p. K. Lenca.

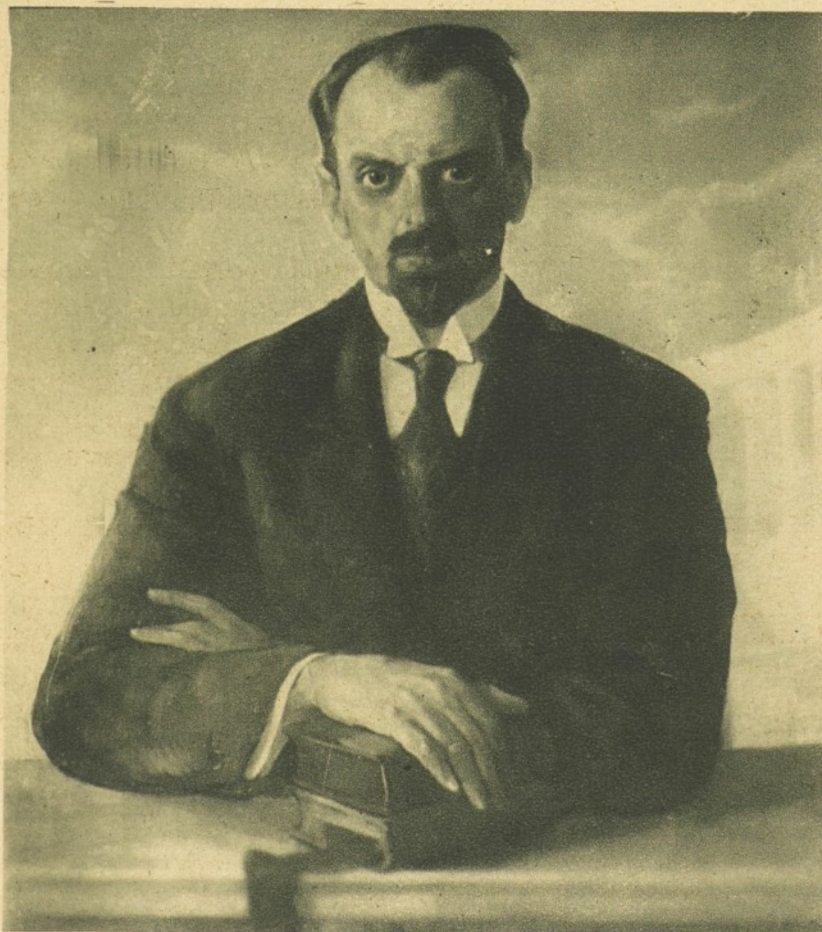
WYSTAWA ZBIOROWA OBRAZÓW TADEUSZA PRUSZKOWSKIEGO.



Malarka.



Madonna



Portret prof. Wacława Makowskiego.



Autoportret.

ICH UŚMIECHY

Uśmiech. Bagatela!

Niby nic. Bo niby co to jest? Milczące wydłużenie ust, czasem i rozchylenie, więc i ukazanie zębów, czasem i dziąseł, nieznaczne zwężenie oczu przez uniesienie policzków, i już. To jest uśmiech.

A jednak!

Że imponderabilja dużo ważą, to najłatwiej sprawdzić właśnie na uśmiechu. Imponderabilja w polskim przekładzie: nieważkości. Cóż może mniej ważyć, niż uśmiech? Jest to nieważkość wprost idealna. A jednak! Dla tej nieważkości, zwiewnej, jak marny puch kwietny, niestałej, jak czas, niepochwytnej, jak dusza, znikomej, jak para, nagłej, jak uczucia, zaniedbywano trony, ba! zaniedbywano rewolucje! Uśmiech Heleny zburzył Troję, uśmiech Marji Antoniny zgilotynował Barnave'a, uśmiech Luizy Gely obciął włosy Samsonowi Wielkiej Rewolucji Francuskiej, Dantonowi! Uśmiech to potęga. Więcej waży, niż cetnary, bo kulę rewolwerową w skroń, albo tysiące ciał ludzkich, zamarłych w bitwach Antonjusza, rozkochanego w Kleopatrze.

Sprobujcie wykreślić uśmiech z historji świata. Zapadnie wieczna noc! Jakbyście zgasili słońce. Okaże się, że płacić za uśmiech rozlewem krwi, pożarami, dziesięcioletniemi oblężeniami miast, masowym głodem, warto! jeszcze nie zadrogo! Ponure igraszki zbrojnych narodów i ponure igraszki pojedyńczych figlarzów, wszystko to się jeszcze opłaca, póki istnieje słońce uśmiechu.

Bo uśmiech...

Uśmiech jest tą boską siłą, która ożywia wszystko spowite w drętwocie. Uśmiech jest promieniem, wypływającym z serca, a serce jest naszem wewnętrznem słońcem. Gdy na twarzy błyszczy nam uśmiech, to znaczy, że wewnątrz nas panuje błękit i pogoda. A ponieważ ludzie uciekają od zimna i od szarugi na Rivierę, do Włoch, na Cejlon, nie szczędząc kosztów i fatygi, więc nic dziwnego, że równie skwapliwie poszukują bliźnich, zawsze noszących w sobie rozkosznie bezchmurny klimat południowy. Do osób słonecznie uśmiechniętych garną się nawet odludki, bo przyjemnie jest im odczuć, jak w ich piwnicznej duszy zamarzniętej na kamień ziarno radości taje i nieśmiało puszcza delikatne korzonki. Najsroższe dwunogi zwracają się do uśmiechu, jak kwiaty do słońca. W uśmiechu jest ciepło i światło. Uśmiech grzeje i oświetla. Czasem więcej grzeje, czasem więcej oświetla. Pierwszy jest uśmiechem aniołów, drugi uśmiechem szatanów. Pierwszy uwielbiamy na obliczach pięknych kobiet, drugi podziwiamy w twórczości mistrzów komedjopisarstwa (Beaumarchais, Słowacki, Bernard Shaw). Ale jest jeszcze jeden uśmiech, trzeci, który nietyle grzeje, ile prawie parzy i nie tyle oświetla, ile raczej olśniewa, uśmiech oszałamiający, uśmiech demonów, czyli aniołów upadłych. Ten czyni na świecie spustoszenia. Piękność seraficzna przerodziła się w nim w przepych, a mądrość szatańską w lucyferyczną pychę. Jest to uśmiech głupi, lecz porywający. Ciągnie ku sobie, jak przepaść, odurza, jak eter, niszczy, jak wulkan. Nie mówmy o tym uśmiechu, tak jasnym, że aż oślepia, i tak gorącym, że aż spopiela. Jest to — uśmiech uwodzicielski, obiecujący życie a zabijający, obiecujący wiedzę a dający obłąkanie. Jest to uśmiech, którym, jak pożarem, zajęły się usta od żaru zmysłów, od gorączki nerwów, od tych cielesnych żagwi, które mogą buchnąć swoim własnym ogniem zdaleka od słonecznego ogniska, mieszkającego w naszem sercu. Nie mówmy o tym złodziejskim uśmiechu kurtyzan i donżuanów.

Lecz mówmy o wszystkich innych uśmiechach. Ukradł je bogom Prometeusz niewiadomego nazwiska i darował ludziom. Inne zaczęło się odtąd życie na ziemi. W promieniach uśmiechu nawet cierpienie złagodniało. Mikrob złości umiera w świetle uśmiechu, rak nienawiści umiera w cieple uśmiechu. Uśmiech poprawia obyczaje. Uśmiech jest świadectwem kultury. Barbarzyńca nie zna uśmiechu. O najwyższej kulturze narodu świadczy podobno posiadanie przezeń komedji, a komedja jest uśmiechem. Nie satyra, lecz komedja. Satyra jest jadowitym śmiechem, pełnym akcentów mściwości, irytacji, świstów bata, gdy komedja leczy skazy na duszy człowieczej samem ich naświetlaniem. Uśmiech komedjowy jest szczytem kultury. Dlatego tak trudno o komedję... w Niemczech. A tyle komedji jest we Francji...

Dlatego, nie znając osobiście Perzyńskiego, Krzywoszewskiego, Winawera, Wroczyńskiego, można mówić o ich uśmiechu. Dlatego można mówić o uśmiechu Fredry, któregośmy nigdy nie widzieli i który oddawna nie żyje. Bo uśmiech Fredry, Blizińskiego, Słowackiego został w ich nieśmiertelnych dziełach. Uśmiech jest duchem, istniejącym bez ciała.

Ale... przewróćmy kartę i spojrzyjmy na uśmiechy, modelowane cieleśnie. Oto portrety artystek warszawskich. Poznajecie je? Nie wszystkie, nieprawdaż? Niektóre tak się zamaskowały uśmiechem, że budzą poważne wątpliwości co do swojej tożsamości. „Margerito, czy to ty, czy nie ty?" W uśmiechach, jak w słońcu, stoją. Jednocześnie śliczne i zasłonięte blaskiem uśmiechu. Kto to jest? Tu, na dole. Nie wiesz? Nie znasz? Ależ naturalnie, że to ona! Odrazu ją poznałem. Nie wiem tylko, kto jest ta urocza tuż nad nią. A ja wiem. Wszystkie poznam. Zakład!

Zakład podtrzymuje Redakcja „Świata". Ofiarowuje trzy nagrody w postaci trzech pakietów książek. Pierwsza nagroda dziesięć książek, druga nagroda trzy książki, trzecia nagroda dwie książki.

Kto pierwszy przyśle do Redakcji „Świata" bezbłędną listę nazwisk uroczych artystek, których portrety ozdabiają dwie kolumny niniejszego zeszytu, ten otrzyma pierwszą nagrodę. Proszę adresować do Redaktora z nawiasowem zaznaczeniem na kopercie: *Konkurs „Ich uśmiechy"*.

Astolf

NASZ KONKURS

PIERWSZA NAGRODA:

T. Boy-Żeleński:	*W Sorbonie i gdzieindziej*
W. Grubiński:	*W moim Konfesjonale*
J. Lorentowicz:	*Juljusz Słowacki, wśród Francuzów*
E. Zegadłowicz:	*Dom Jałowcowy*
Fr. Siedlecki:	*H. Modrzejewska*
Irasek:	*Historja Filozofów*
Vancura	*Piekarz Jan Marhoul*
L. Choromański:	*Urna*
Hagemann:	*Sztuka aktorska*
J. Wolker:	*Gość w domu*

DRUGA NAGRODA:

A. Nowaczyński:	*System Doktora Caro*
W. Grubiński:	*Niewierna Grzesznica*
K. Capek:	*Męka Boża*

TRZECIA NAGRODA

T. Boy-Żeleński:	*Brewerje*
W. Grubiński:	*Księżniczka Żydowska*

F. A. OSSENDOWSKI

HISZPANKA GWANDOLINA

2) *(N O W E L A)*

Gdy doszedł do środka estrady, krzyknął: „Ole!" i cisnął przed sobą wprost na widzów śnieżną, powiewną zjawę.

Już w powietrzu opadły jedwabie, koronki, wstążki i z nich wyłoniła się Gwandolina, ze złotym grzebieniem w kruczych włosach, nad któremi połyskiwał, jak korona, z białą, przezroczystą mantyllą, stanowiącą ramę dla pięknej, młodej twarzy o płomiennych, dużych oczach.

Gdy dotknęła desek sceny, zamarła, jak figurka z saskiej porcelany, stojąc na końcach białych trzewiczków, odcinających się od foremnych, różowych, obnażonych nóg. Po chwili uczyniła szalony skok i rozpoczęła z partnerem zawrotny, zmysłowy taniec, pełen wyrazu namiętności i śmiałego wyzwania.

Publiczność szalała i, nie zważając, że już kilkakrotnie spuszczono kurtynę, wywoływała tancerkę. Rozpromieniona i szczęśliwa, wykonywały coraz nowe i nowe tańce. Nagle książę Alfred spostrzegł wyraz lęku na twarzy Gwandoliny, a po chwili starą kobietę, która z pomiędzy kulis robiła jej jakieś znaki. Tancerka nagle krzyknęła przeraźliwie i,uczyniwszy kilka kroków, zachwiała się i upadła.

Spuszczono kurtynę. Wśród publiczności powstało zamieszanie. Robiono różne domysły, plotkowano, żałowano Senoritę Gwandolinę.

— Coś mi się wydaje, że teraz przez dłuższy czas piękna hiszpaneczka nie ukaże się na scenie! — zawołał, ohydnie się śmiejąc, jakiś gruby jegomość. — Takie zemdlenie — to zły a nieomylny znak, że...

Gwar pokrył resztę jego słów.

Tymczasem przed kurtyną zjawił się reżyser i, pocierając czerwone, spocone ręce, oblesnym głosem, umiejącym przypodobać się publiczności, mówił:

— Senorita Gwandolina nie może wyjść na scenę, gdyż chwilowo zachorowała. Przyczyną choroby, ladies and gentlemen, jest zgubienie przez nią listu od kochanej nad życie matki, sędziwej, szlachetnej matrony! Dyrekcja spodziewa się, że szanowna publiczność uszanuje przywiązanie wielkiej artystki do ubóstwianej matki....

— Brawo, brawo, Gwandolina! Jakie głębokie uczucie! — wołali wrażliwi na rodzinne sentymenty Amerykanie.

— Znamy się na tych zgubionych listach! — zaśmiał się jakiś żółty, jak cytryna, włoch.

Rozległy się brawa, pytania o jutrzejszy spektakl, zagrała orkiestra, kurtyna znowu poszła w górę, na scenie ukazali się następni wykonawcy.

Książę Alfred opuścił salę, odszukał swoje ubranie, lecz gdy podszedł do wejścia artystów i, wcisnąwszy odźwiernemu pięć franków do ręki, zapytał o Gwandolinę, dowiedział się, że, nie przebierając się nawet, pojechała do domu.

— Pewno ma nadzieję, że pozostawiła nieszczęsny list w hotelu —domyślił się książę. Skinął na samochód i kazał się wieść do hotelu Bourges.

— Proszę oddać mój bilet pannie Gwandolinie! — rzekł do portjera skromnego hoteliku przy nieznanej, małej uliczce.

— O, panie! — zawołał zdumiony portjer. — Panna Gwandolina nigdy nie przyjmuje nikogo!

— Dobrze! — rzekł książę. — Zaraz napiszę kilka słów i proszę o oddanie biletu. Mam bardzo pilny interes!

Poważny ton i 10-frankowy papierek wywarły pożądany skutek.

Portjer odszedł, lecz przybiegł natychmiast, wołając:

— Panna Gwandolina bardzo prosi pana! Jakie szczęście! Biedaczka tak rozpaczała!

Książę Bryński zapukał i wszedł. Mały pokoik, oświetlony lampką pod żółtym abażurem, był zawieszony reklamowemi afiszami z portretami tancerki, wstążkami i papierowemi wachlarzami, otaczającemi dużą fotografję sędziwej kobiety. Pośrodku pokoju stała Senorita Gwandolina w swoim stroju teatralnym, z zapłakanemi oczami i, przycisnąwszy ręce do piersi, patrzyła na gościa wzrokiem pełnym nadziei i źle ukrytej nieufności.

— Znalazłem przed teatrem list, adresowany do pani, — zaczął książę po francusku. — Obawiałem się oddać go przez odźwiernego, chciałem doręczyć osobiście. Nie spodziewałem się, że zwłoka pociągnie za sobą tak przykry wypadek. Proszę mi wybaczyć!

Mówiąc to, podał tancerce dużą, szarą kopertę.

— Matko Boska, dzięki Ci! — wyrwał się Gwandolinie polski okrzyk.

Zdumieniu księcia nie było granic. Ochłonął wkrótce i, kłaniając się, rzekł:

— Podwójnie mi przyjemnie, że to rodaczce okazałem taką przysługę, chociaż trochę spóźnioną, za co jeszcze raz przepraszam panią! Teraz odejdę, bo uczyniłem wszystko, co odemnie zależało.

— O, niech pan pozostanie jeszcze trochę! — zawołała Gwandolina. Jestem tak bardzo wdzięczna panu. Portjer zaraz przyrządzi dla nas herbatę.

— Dziękuję pani! —natychmiast zgodził się książę i, zdjąwszy płaszcz, usiadł.

Tancerka coś mówiła do portjera, ten uśmiechał się i kiwał głową.

Gdy wyszedł, dziewczyna wzięła kopertę i chciała ją rozerwać, lecz palce jej drżały.

— Pani nie czytała jeszcze tego listu! — zdziwił się książę.

— Nie... — szepnęła. — Bałam się go czytać przed teatrem, aby móc tańczyć... Ten list przynosi bardzo ważną rzecz. Stanowi o moim losie...

Jakieś rozczulenie nad tą zarzuconą na paryski bruk polską dziewczyną, stojącą w tej chwili przed nieznanym wyrokiem, ogarnęło młodego Bryńskiego.

— Niech pani czyta! — szepnął. — Jeżeli list przyniesie dla pani dobre wieści, będę się szczerze cieszył, jeżeli zmartwi, — będziemy szukali sposobów zażegnania złego. Śmiało!

Gwandolina rozerwała kopertę i rozwinęła arkusik papieru. Wypadł z niego kawałek opłatka. Przebiegła oczami list i zbladła. W oczach zjawiły się ponure błyski.

— Koniec... — jęknęła.

— Niech pani opowie, co się stało, pomówimy i naradzimy się — rzekł łagodnym głosem książę Alfred. — A niech pani mnie się nie obawia! Przysięgam, że będę tylko przyjaznym doradcą.

Mówił poważnym i szczerym głosem.

Zamiast odpowiedzi podała mu list.

— „Dziecko moje najmilsze, umiłowana Janko! — przeczytał książę Bryński. — Ciężko mi pisać do ciebie, że wszelkie wysiłki, aby pożyczyć u stryja Stefana, te nieszczęśliwe 10.000 franków które zwolniłyby cię z łap twego

przedsiębiorcy, spełzły na niczem. Ciężko mi to i gorzko pisać, bo cały swój zarobek oddawałaś na edukację Tadka i dla nas narobiłaś długów. Teraz nic nam nie dawaj, staraj się spłacić dług, a my już jakoś przetrwamy. Posyłam ci opłatek świąteczny i pamiętaj, że on przyniesie ci prawdziwe szczęście i ochroni od wszelkiej pokusy, od wszelkiej biedy i napaści!

Twoja kochająca i błogosławiąca ciebie

Matka".

Książę Alfred starannie włożył list do koperty, podniósł leżący na podłodze opłatek i czekał.

— Widzi pan, jak źle jest ze mną? — zapytała dziewczyna bezdźwięcznym głosem .

— Nie rozumiem dokładnie, niech pani opowie mi wszystko! — poprosił.

Opowiadziała mu, że dopiero od roku robi karjerę, jako tancerka, że dla rodziny musiała zaciągnąć u swego partnera dług, a teraz ten potwór żąda zwrotu, lub...

— Tego ja uczynić nie mogę! — zawołała z rozpaczą w głosie. Lepiej śmierć!

— Domyślam się! — powiedział książę Alfred. — Zwykła historja artystki kabaretowej. Kiedy termin spłaty długu?

— Pojutrze... — odparła.

— No, to mamy czas! — zawołał wesoło. — Jutro przyślę do pani mego kolegę - adwokata i z nim razem pani załatwi sprawę ze swoim partnerem. A teraz pani napije się herbaty i poczęstuje mnie, bo, słyszę, że portjer już niesie tacę.

— Jakże pan to uczyni? — pytała Gwandolina.

— To już rzecz adwokackiej głowy! — odpowiedział ze śmiechem.

Pili herbatę w towarzystwie portjera, którego książę dyskretnie zatrzymał, prowadząc z nim ożywioną rozmowę na temat o rządzie socjalistycznym.

Portjer był tak pochlebiony, że nawet nie chciał przyjąć pieniędzy od odchodzącego gościa.

Nazajutrz książę rozmówił się ze swoim kolegą - adwokatem i wręczył mu czek na 10000 franków, oświadczywszy, że nocnym pociągiem odjeżdża do Warszawy.

— Nie mam już poco błąkać się za granicą—mówił ze śmiechem.— Nabrałem przekonania, że wyszumiałem się oddawna.

— A może nietyle wyszumiałeś się, ile jesteś szlachetnym i uczciwym człowiekiem? — zauważył adwokat, bacznie patrząc na przyjaciela.

— Dziękuję! — odpowiedział z ukłonem książę. — Pocieszasz mnie!

W domu książę Alfred uważnie przeglądał zagraniczne pisma, śledząc błyskotliwą karjerę hiszpańskiej tancerki, senority Gwandoliny. Jednak wkrótce wzmianki o niej znikły ze szpalt dzienników.

— Co się stało? — zadawał sobie pytanie książę.

Odpowiedź przyszła niespodziewanie szybko.

Kolega - adwokat przysłał długi, bardzo długi list, napełniony zachwytami nad zaletami i charakterem Gwandoliny i obawami o jej los tancerki, otoczonej uwielbieniem i pożądaniem, a narażonej na miljony pokus.

— Znalazłem — pisał kolega— tylko jeden sposób na uratowanie tej pięknej istoty i czystej duszy. Za tydzień nasz ślub. Zwracamy ci 10000 fr., pożyczonych Gwandolinie w ciężkiej chwili jej życia, i dziękujemy, żeś nas połączył.

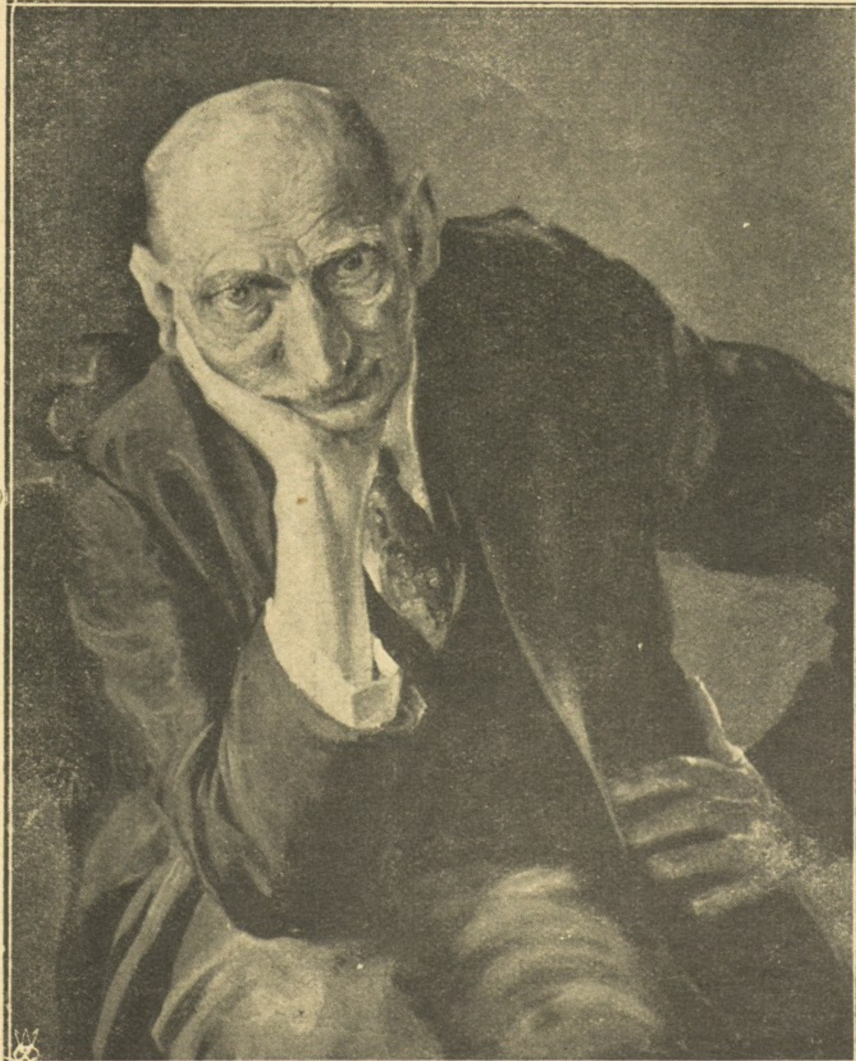
Książę Alfred uśmiechnął się:

— Opłatek istotnie przyniósł szczęście... — pomyślał.

Usiadł przy biurku i zaczął układać telegram z powinszowaniem i życzeniami.

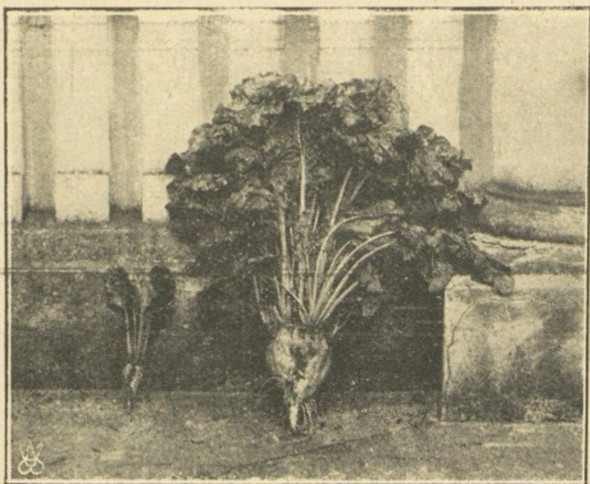
Z WYSTAWY W WARSZAWSKIEJ ZACHĘCIE SZTUK PIĘKNYCH





„Zosia" — *Zdzisław Nirensztein* — „Prokurator" (Odznaczenie honorowe)

Fot. Jan Wołyński



Na lewo buraki siane zwykłym sposobem ($42^1/_2 \times 20$ ctm.)
Na prawo buraki systemem Lossowa (75 × 75 ctm.)
Przeciętne okazy wzięte z sąsiednich pól



Na lewo kartofle sadzone zwykł. sposobem ($60 \times 37^1/_2$ ctm.)
Na prawo kartofle według systemu Lossowa (94×94 ctm.)
Przeciętne okazy wzięte z sąsiednich pól

Okopowe według systemu Lossowa...

Jednym z najpowszechniejszych zarzutów, stawianych systemowi Lossowa—rzadkiego siania oraz sadzenia roślin gospodarczych — jest twierdzenie, że to uprawa bardzo kosztowna. Rozmowy jednak z p. Lossowem, jego listy oraz zestawienia kosztorysów, przytoczone w jego artykułach, przekonały mię, iż zarzut ten jest niesłuszny. Wydatki wcale nie są większe, niż przy zwykłej uprawie, przenoszą się jedynie do innych kategorji, a rezultaty otrzymuje się o wiele bogatsze.

Niech za przykład posłuży następujące wyjaśnienie, przysłane mi przez p. R. Lossowa wraz z fotografjami jego tegorocznych okopowych. Oto co pisze z powodu kartofli w tym roku:

„Kartofle rzadko sadzone pobiły gęsto sadzone o 30 cetn. na morgdze, co czyni przy przeciętnej cenie za pojed. cetn. 4 złote (przeciętna całego roku) — 120 zł. różnicy. Do tego dochodzi różnica na sadzonkach, ponieważ przy gęstem sadzeniu zużywa się $15^1/_2$ cetn., a przy rzadkiem $4^1/_2$ cetn., co stanowi oszczędności, licząc po 7 zł. za sadzonki 77 zł. Po odciągnięciu nawożenia t. j. 90 funtów azotniaku, co stanowi 18 zł. (77—17) suma oszczędności — 59 zł.; po dodaniu zaś wspomnianych powyżej 120 zł. *całkowita różnica na korzyść rzadko sadzonych kartofli wynosi 179 zł.* na mordze magdeburskiej.

„Ponieważ przy gęsto sadzonych kartoflach *ręczna* robota jest większa, ale zato przy rzadko sadzonych jest większa robota *sprzężaju*, — należy więc przyjąć, że niema różnicy w kosztach obróbki.

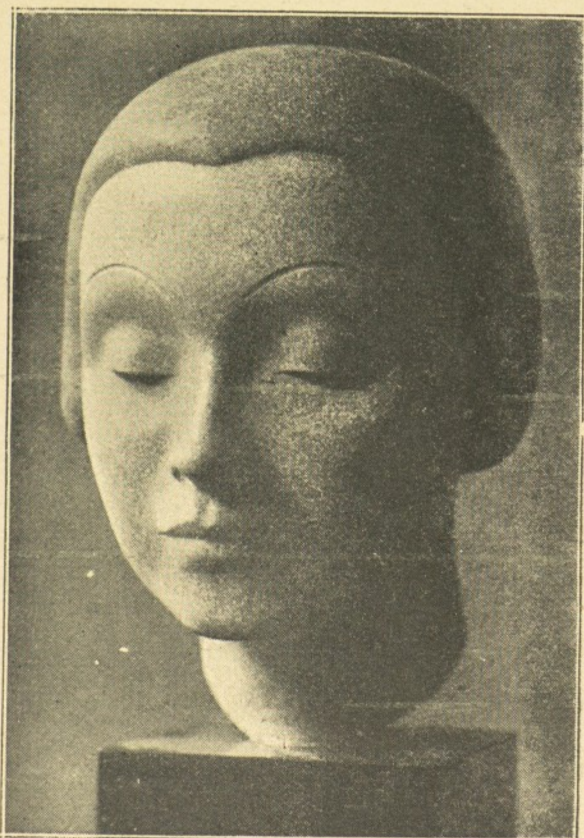
„Kartofle byłyby wydały w tym roku conajmniej 200 cetn., gdyby nie nadmiar wody i niebywałe w naszym klimacie opady, przy których rzadko sadzone kartofle o wiele więcej cierpią.

„Zaznaczyć muszę, że dotąd jestem jedyny ,co rzadko sadzi kartofle i buraki. Nikt w rzadkie sadzenie kartofli nie wierzy, nawet tam, gdzie rzadki siew zboża już zjednał sobie dużo zwolenników..."

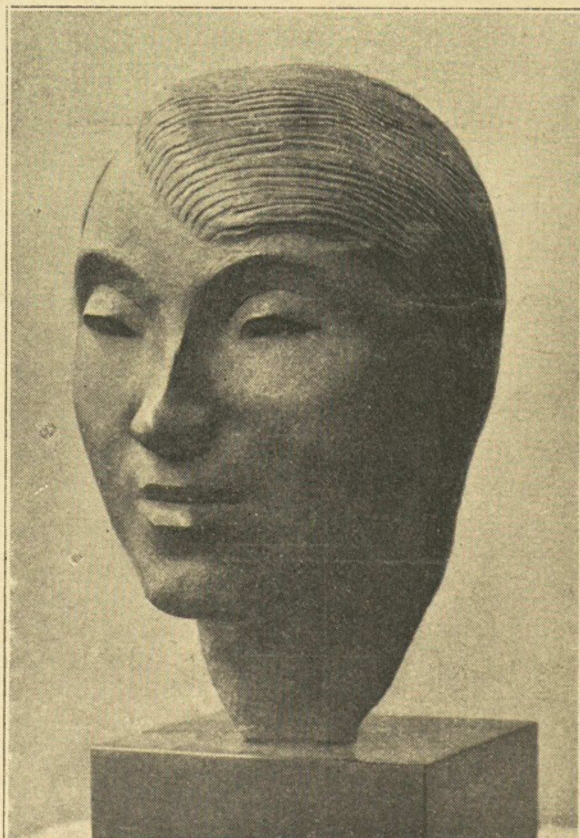
Dodam od siebie, że rzadko sadzone kartofle mają o wiele więcej skrobi oraz w jedzeniu odznaczają się delikatniejszym, przyjemniejszym smakiem. Buraki znowu mają o wiele większy procent cukru, tak że powinny być przez cukrownie o wiele lepiej premjowane w interesie fabrykacji.. Przypisać to należy lepszemu, racjonalniejszemu wysłonecznieniu gruntu i wzmożeniu związanych z tem procesów chemicznych oraz biologicznych. Rzecz zgoła warta zastanowienia.

Wacław Sieroszewski

RZEŹBY AUGUSTA ZAMOYSKIEGO



Portret p. Wielopolskiej
(Kamień)



Portret Marji hr. Potockiej
(Cyzelowany w bronzie)



Portret p. Bławdziewiczowej
(Cyzelowany w bronzie)

ŚWIETNY AUTOR KOMEDJI P. T. „LEKARZ MIŁOŚCI", W OTOCZENIU WYKONAWCÓW RÓL GŁÓWNYCH.

Pp Gawlikowski, Perzyński, Dulęba, Solski, Ćwiklińska, Zelwerowicz, Gromnicka i Łuszczewski

Lekarz miłości

Nowa komedja Perzyńskiego nie ma kręgosłupa?

A jednak jest, istnieje, żyje, śmieje się, wibruje.

Niema wewnętrznych żelaznych wiązadeł?

A jednak stoi.

Na czem polega ten dziwny dziw, ta niemożliwość?

Na tem, że to nieprawda.

Nowa komedja Perzyńskiego ma kręgosłup i ma wewnętrzne ramy, tylko że te ramy i ten kręgosłup nie są z żelaza ani z betonu, chociaż bez wysiłku trzymają na sobie roześmianą, rozpląsaną, lekkostopą, zwinną, pełną wdzięku, pełną dowcipu, trzyaktową komedję. Mistrzostwo komedjopisarskie autora ostatniej premjery warszawskiej w tem się właśnie wyraża, że na wiązadłach z pajęczyny buduje komedję mocną, jak mur.

Pod tym względem komedja o „Lekarzu miłości" przypomina ni mniej, ni więcej, tylko samego człowieka, którego życie, choćby był Herkulesem, wiadomo, że wisi na niewidzialnym włosku. Na niewidzialnej prawie pajęczynie tak zwanej intrygi trzyma się rozkoszna sztuka Perzyńskiego i promienieje pogodą, która zachwyca, dowcipem, który raduje.

W święta nie powinno się pisać dłuższych sprawozdań teatralnych nad piętnaście wierszy, dlatego kończę nietyle to sprawozdanie, ile ten aforyzm *à propos* nowości teatralnej, wprowadzającej się na długo do teatru Narodowego. Jeszcze tylko zaznaczę, że afisz „Lekarza miłości" pięknie zdobi nazwisko nieporównanej p. Mieczysławy Ćwiklińskiej, p. Gromnickiej, p. Zelwerowicza i p. Solskiego.

Wacław Grubiński

AUTOR, KTÓRY SIĘ BRONI

Kazimierz Wroczyński, autor komedji „Aby żyć" (Teatr Polski)), którego wystąpienie przeciw krytykom teatralnym wywołało żywe poruszenie w prasie

„Chłopi" — po włosku

Jako wydawnictwo firmy Veechioni ukazał się pierwszy tom „Chłopów" Wł. St. Reymonta w przekładzie p. Aurory Beniamino. Przekład ten poprzedził wstępem prof. Tadeusz Zieliński, znany hellenista. Szeroka czytająca publiczność włoska będzie mogła teraz poznać świetną epopeję Reymonta, przyswojoną mowie Carducciego i d'Annunzia.

Aurora Beniamino

Krytyka literacka włoska z przekładu tego osądzi, jak żywotnym, żywiołowym, barwnym był talent pisarski Wł. St. Reymonta. Pozna też uroki polskiej jesieni. Pierwszy tom zawiera przecież opis tej pory roku w naszej ojczyźnie.

Należy życzyć p. Aurorze Beniamino, by swoje dzieło skończyła jaknajwcześniej. Dopiero z całości można osądzić piękno i czar, odznaczonej nagrodą Nobla, znakomitej powieści Wł. St. Reymonta.

Z PAMIĘTNIKA KRAKOWIANINA

Czwartek.

Byłem dzisiaj z jedną znajomą panią w mieście, chociaż wogóle nie lubię się pokazywać z kobietami, po co? — jeszcze mnie obmówią. Właściwie ludzie są bardzo nielogiczni — powinni obmawiać tylko te pary, które się nigdy i nigdzie razem nie pokazują, bo to znaczy, że siedzą w jakiemś zacisznem gniazdku w przytulnem tête a tecie, a tymczasem ludziom wydają się podejrzane te niewinne parki, które włóczą się bezdomne po dancingach i kinach. — Otóż wracając do mojego dzisiejszego spaceru, to zauważyłem, że krakowskie sklepy mają nowy i wcale sprytny sposób nabierania gości, jeszcze lepszy od wybujałych gwiazdkowych cen. — „Ile kosztuje ta para pończoch?“ pyta się znajoma pani, wchodząc wraz ze mną do sklepu. „Dwanaście złotych, prawdziwe angielskie, bardzo eleganckie i młodociane“, brzmi odpowiedź. — „Można je kupić, niedrogie i angielskie, dobre do wychodzenia po angielsku z wizyt i fife'ów“, radzę pod naporem sugestywnych oczek panny sklepowej (a potem jak się samemu nie płaci, to się dziwnie lubi drugich namawiać na wydatki). Pani kupuje, płaci, poczem ku naszemu zdziwieniu dostaje z piętnastu złotych tylko złoty pięćdziesiąt reszty. — „Państwo się przesłyszeli, uspakaja nasze słuszne oburzenie panienka, to są prawdziwe zagraniczne pończochy, kosztują trzynaście pięćdziesiąt, mamy i po dwanaście złotych, w gorszym gatunku, bardzo trwałe“. —

Wyszedłszy ze sklepu, moja znajoma rzuciła się z okrzykiem radości na młodą i ładną ale niemożliwie ubraną osobę, która bez ceremonji niosła przewieszony przez ramię parasol pełen paczek. — Panie zaczęły zamieniać gorące pocałunki, a ja stanąłem dyskretnie z boku, oglądając wystawę sklepową.

— Nie powinnam cię całować, rzekła przyjaciółka, bo mam straszny katar. —

— Nic nie szkodzi, odparła moja znajoma, ja kaszlę od tygodnia i mam gorączkę.

(Jak to dobrze, pomyślałem, że ja się nigdy nie całuję z kobietami, są to największe roznosicielki kataru. Kto nie chce się zaziębić, niech unika w Krakowie kobiet).

— Czemu nie nosisz twojego ślicznego futerka z cielątek? — zapytała przyjaciółkę moja znajoma,—i tych wszystkich ładnych rzeczy, które sobie przywiozłaś z zagranicy?

— Ja miałabym się w Krakowie ubierać — odrzekła przyjaciółka, po co? i dla kogo? — Wszystkie porządne rzeczy chowam na wypadek wyjazdu, a i ty, jak widzę, też trzymasz się tego systemu. Twarzy również szkoda na Kraków, to też ja zupełnie przestałam się pudrować, myć, i czesać, radzę ci zrobić to samo. Potem jak naprawdę będzie warto twarz pokazać, to zobaczysz, jaką będziesz mieć świeżą i wypoczętą.

Co te baby chcą od tego poczciwego Krakowa? Takie piękne starożydowskie miasto.

Sobota.

Niecierpię soboty, jest to dzień Saturna, w którym się wszystko nie wiedzie. Najpierw wróciwszy zmarznięty z miasta, poprosiłem mojej najstarszej siostry, wielkiej hygienistki, o kieliszek „czegoś mocnego“. — Ku mojemu zdziwieniu nie odmówi a mi, tylko z dobroczynnym uśmiechem nalała mi duży kieliszek jakiegoś alkoholu, a ponieważ sam widok zakatarzonych znajomych doprowadził i mnie wkońcu do kataru, więc nie poczułem, z czem mam doczynienia. Była to czosnkowa nalewka, doskonała na sklerozę i na wszelkie inne dolegliwości, ale bardzo szkodliwa dla smaku. Zrobiło mi się gorąco, potem zimno, i miałem wrażenie, że nie przeżyję czosnkowej wódki, a raczej że butelka tej zdrowotnej malmazji mnie przeżyje.— „Trudno, mój drogi, rzekła kochająca siostra, żeby być zdrowym w takim klimacie, jak krakowski, trzeba pić i jeść różne zbawienne świństwa, inaczej nie dożyjemy wszyscy do wiosny“. Podczas omletu z brukselką (moje siostry wmówiły we mnie, że dziś się pości „pod“ niedzielę) przyszedł krawiec z rachunkiem, kazałem oczywiście powiedzieć mu, że mnie niema, ale ponieważ upierał się, że jestem i nie chciał odejść, więc wyszedłem do niego i powiedziałem ostro: „Czegóż pan tu stoi? mówię przecież, że mnie niema“. — Zawstydził się i odszedł, ale mój apetyt także. Ciekaw jestem, czy to tylko w Krakowie, czy też wszędzie na świecie ludzie z rachunkami przychodzą zawsze podczas obiadu?—Wogóle nie lubię gości, moje siostry są bardzo podobne do mnie pod tym względem. Gdy tylko przyjdzie do nich jakaś przyjaciółka, zaraz kładą kapelusz, i futra i tak gotowe do wyjścia witają ją w salonie. Jest to świetny system, taki gość siedzi wtedy na szpilkach, jak Jogi, i po pięciu minutach dopiero odchodzi, a czasem nawet podwiezie człowieka dorożką do miasta. Matka mojej bratowej, gdy służąca przez roztargnienie powie przypadkiem, że „pani jest w domu“, zamyka się przed gośćmi do łazienki i siedzi tam skromna i cicha tak długo, póki znudzeni szukaniem jej znajomi nie odejdą. — Mam kilka osób w Krakowie, które chętnie widzę, między niemi w pierwszym rzędzie listonosza pieniężnego, ale tacy goście niestety bardzo rzadko przychodzą.

Nie wyjdę na miasto, ani do kina, zadużo krakowiaków włóczy się dzisiaj po ulicach, takich typowych krakowiaczków w d ugich ciemnych płaszczach, miękkich kapeluszach i pejsach. Wszystkie sklepy pozamykane, nie wiem nawet, czy poczta w sobotę jest otwarta.

Niedziela.

Niedziela mnie rozbiera. Nie wiem, co robić z czasem. Głowa mnie boli, sklepy znowu pozamykane. Już od dwóch tygodni noszę się z zamiarem kupienia sobie sznurowadeł i nie mogę znaleźć na to czasu. (Jak mówię o czasie, to myślę o pieniądzach, bo skąd wziąć pieniędzy na taki drobny wydatek, jak sznurowadła?)—Gdzie tu pójść... znajomi pewnie także pozamykani, pójdę chyba na Wentę Spożywczą, która odbędzie się w wojskowej ujeżdżalni na Zwierzynieckiej, albo na wystawę Przeciwalkoholową, gdzie stoją pewnie puste butelki po wódce i koniaku....

Wieczorem.

Byłem na Wencie i wygrałem ogromną paczkę Kunerolu wartości najmniej pięciu złotych; przynajmniej odbije mi się obiad, który zjadłem w Starym Teatrze... Ale co dalej robić z Kunerolem? — W ujeżdżalni pachniało przyjemnie denerwująco końmi, jak w cyrku. Miało się wrażenie, że lada chwila któryś z pijaków zwierzynieckich, których było pełno na Wencie, z czerwonym nosem, w pogniecionym kapeluszu i łatanych szerokich modnych szarawarach, wykręci kilka wymyślnych kozłów, jak clown, wywróci się, potem wstanie i znów się wywali. Biedna zgromadzona tłumnie publiczność bez skutku czekała na jakąś niespodziankę losu, żeby przynajmniej jeden wojskowy konik był sobie biegał rżąc groźnie naokoło Tatersalu, ale nie było o tem mowy, tak samo jak o jakiemkolwiek pożywieniu (oprócz ziemi pulchnej i zdrowej). Nie wiem tylko, dlaczego cała ta świetna zabawa nosiła nazwę tentującą „Wenty Spożywczej“.

Kraków *Magdalena Samozwaniec*

FELJETON WILEŃSKI

Uczęszczanie do Reduty należy w Wilnie do obowiązków obywatelskich. Takie tu utarło się mniemanie.

P. Osterwa, otwierając podwoje Reduty, wszedł poniekąd w milczący układ ze społeczeństwem wileńskiem:

— Ja dam wam teatr — wy dacie poparcie, materjalne i moralne.

Wystawiony sumptem stu tysięcy, teatr na Pohulance bezmała dwa lata karmi wileńską publikę artystyczną strawą. Atoli strawa okazała się niebawem — niestrawną. Coraz rzadziej i rzadziej wspinał się wilnianin na strome wzgórza Pohulanki. Aż wkońcu ledwo z obowiązku tylko... Niedostępne dlań stały się redutowe koturny, niezrozumiały — djapazon.

Pustkami ję y świecić białe ściany teatru...

— — — — — — —

Wilno dziś i Wilno z przed wojny—to dwa różne miasta. Przed wojną było Wilno miastem *pur-sang* — ziemiańskiem. Tu ogniskowało się życie kulturalne Ziem Wschodnich, stąd też promieniował rozwój intelektualny — nietylko na Kresy...

To było miasto gubernialne, punkt węzłowy wielkiego traktu z Zachodu na Wschód, ognisko uprzemysłowione z ruchliwym rynkiem handlowym.

Przyszła wojna. Jedna, potem druga. Ze szlacheckich siedzib zostały zgliszcza... Przemysł zamarł, handel się skurczył. Potem trzeba się było odbudowywać.

Miejsce patrycjuszów zajął plebs. Ów plebs, którego hasło brzmi odwiecznie: PANEM ET CIRCENCES...

— — — — — — —

Reduta jest teatrem dla patrycjatu. Usiłuje być akademją wysokiej SZTUKI, —okraszonej w dodatku... modernizmem. To nie jest dla Wilna.

— — — — — — —

Właśnie temi dniami p. Szyszkowski wygłosił w Wilnie odczyt na temat: „Widz i scena". Z zapłodnienia widowni przez scenę — mówił p. Szyszkowski — rodzi się misterjum sztuki teatralnej. Aby wywołać to misterjum, scena musi dać widowni to, czego widownia pragnie. Widownia łaknie sztuk *współczesnych*, t. j. wyrażajacych ideały współczesne. Tymczasem nasze teatry dają nam repertuar nieraz z przed wielu dziesiątków lat. Teza prelegenta brzmiała, że repertuar przedwojenny, muzealny, podawany widzom, jak codzienna strawa — „niezdolny jest wywołać trwałej spójni widza ze sceną. Prelegent nie dowodzi bynajmniej, że Fredro, Wyspiański czy Krasiński stracili rację bytu na scenie. Bynajmniej... Wszakże trzeba się pogodzić z faktem, że wrażliwość, z jaką nasi przodkowie reagowali na sztuki ówcześnie aktualne — dla nas dziś zostaje obcą.

— — — — — — —

Ostatnio wystawiła Reduta „Sędziów" Wyspiańskiego. Rewelacyjne rozwiązanie sceniczne tej sztuki wywołało w Wilnie niemałą konsternację.

Jakże to? Wyspiańskiego wystawiać à la Meyerhold....

Oto, jak wygląda inscenizacja „Sędziów":

Scenę podzielono na trzy części — w formie tryptykowej. Pośrodku, we właściwej karczmie ustawiono podjum ze stołem dla sędziów. W lewo „świat Joasa, zatopiony w omgle błękitno-różowej", na prawo „świat Jewdochy, skąpany w niesamowitem, czerwonem świetle".

— — — — — — —

Publiczność formalnie zbaraniała... Wyspiański czy nie Wyspiański?... Krytyk jednego z pism wileńskich napisał czarno na białem, że sam Wyspiański nie zdawał sobie sprawy, jaki powinien być jego teatr, a dopiero Reduta pokazała, jak należy wystawiać jego sztuki...

Tego już było za wiele. Porwał za pióro sam Czesław Jankowski, najpoważniejszy w Wilnie koneser teatru, i — wyciął reprymendę.

„Wyspiański — pisze Jankowski — sprecyzował najdokładniej, jak mają być jego sztuki wystawiane. Był w najrozleglejszem znaczeniu człowiekiem teatru; wiedział, czego chce; dbał o najdrobniejszy szczegół. Stwierdzili to wielokrotnie i Józef Kotarbiński i reżyser teatru krakowskiego, Sosnowski, którzy razem z Wyspiańskim montowali jego sztuki."

Otóż, jeżeli WYSPIAŃSKI najwyraźniej chciał, aby jego sztuka „Sędziowie" rozgrywała się w realistycznem *millieu*, to nie wolno Wyspiańskiego „poprawiać". Nie wolno wprowadzać do sztuki Wyspiańskiego *postaci własnego pomysłu* (symboliczna zjawa, wygrywająca na skrzypcach nastroje Joasa). Nie wolno ustawiać pośrodku karczmy stołu powleczonego jaskrawem, zielonem suknem...

Czesław Jankowski nazywa to herezją, zuchwalstwem i bezceremonjalnością.

Wilno *E. M. Schummer*

FELJETON LWOWSKI

O JUBILEUSZACH

Tytuł niech sobie będzie taki, jak zawsze, czytelnicy jednak niechaj wiedzą, że temat w tym wypadku jest abstrakcyjny, ogólny, teoretyczny i nie odnosi się konkretnie do nikogo ani do niczego. Po tem zastrzeżeniu, niezbędnem dla bezpieczeństwa osobistego, możemy zacząć.

Ilość uznanych wielkich ludzi stoi w prostym stosunku do małości miejscowości, o którą w danym wypadku chodzi. Innemi słowy, im miasto czy miasteczko jest mniejsze, tem więcej mieści w swoich murach sław lokalnych.

Z ironją rzecz ma się przeciwnie. Im miasto — i człowiek — jest mniejszy, tem mniej jest na nią miejsca. Działanie ironji krytycznej, pozbawionej respektu, na ilość wielkich ludzi jest zabójcze. I dlatego im miasto czy miasteczko jest mniejsze... (j.w.).

Im miasto czy miasteczko jest mniejsze, im centra życia bardziej są oddalone, tem trudniej i nudniej w niem żyć. Wtedy na życie szare i codzienne nakłada się płaszcz iluzji. Ja jestem wielki w tem, ty jesteś wielki w owem. Ja uznaję ciebie, a ty mnie (znamy psychologję i dzieje takiej umowy z ibsenowskiego Johna Gabrjela Borkmana).

Niech sobie świat robi, co mu się podoba, ja i ty orzekamy, że jesteśmy centrum świata. Ja tobie urządzam jubileusz a ty mnie. Ja na twoim jubileuszu wygłaszam mowę a ty na moim. (Stroną techniczną jubileuszu zajmuje się sam jubilat).

Okazja do urządzenia jubileuszu znana jest zrazu jedynie samemu kandydatowi na jubilata. Motywy jubileuszu ustala się we wspólnem porozumieniu osób zainteresowanych. Ktoś czterdzieści lat temu przestał pisywać okolicznościowe artykuły. Urządza mu się obchód jubileuszowy 40-letniej działalności dziennikarskiej. Ktoś trzydzieści lat temu uczestniczył przy zakupnie sikawki, przy sprawieniu chorągwi cechowej lub urządzeniu balu na cele dobroczynne. Jubileusz trzydziestolecia działalności społecznej jest gotów.

Gromadzą się uczestnicy jubileuszu. Na czele łysiny, brody, brzuchy. Zeszłoroczny jubilat głosi zasługi tegorocznego jubilata. Przyszłoroczny jubilat uzupełnia charakterystykę z innego punktu widzenia. Potem przedmiot jubileuszu, wysłuchawszy z widocznem zainteresowaniem tych wywodów, przerywanym ze wzruszenia głosem... w niewielu serdecznych słowach....

Obecni bezpośrednio niezainteresowani oczekują z tęsknotą końca przemówień i początku obiadu. W spożyciu obiadu przeszkadzają im dalsze przemówienia. Nudę oczekiwania osładza myśl — marzenie o własnym — kiedyś — jubileuszu.

Jubileusze wielkości poza — i ponad lokalnych są także gruntem, na którem wzrasta ziarno sław miejscowych i miejscowych jubileuszów. Z okazji takiego pozamiejscowego jubileuszu dowiadujemy się przedewszystkiem, że radca .... jest świetnym mówcą, aptekarz...... znakomitym dyrygentem, a starościanka..... artystką, która mogłaby występować na scenach stołecznych (gdyby chciała).

Mówi się obecnie wiele o teatralizacji życia i teatru. Pocóż jednak udawać się do Jewreinowa? W naszych miastach i miasteczkach oddawna już teatralizuje się życie, mimo, że termin sam był i jest tam nieznany. Udaje się własną wielkość. Udaje się wiarę w wielkość cudzą. Odgrywa się groteskę nieistniejącej wielkości życia i ludzi.

Wzruszająca poezja rezygnacji i ucieczki przed rzeczywistością!

Czasem jednak chciałoby się otworzyć okno, wymieść pajęczynę, wpuścić wiew ironji.

W pewnem mieście pewni panowie przynieśli pewnemu redaktorowi komunikat z powodu rocznicy śmierci wielkiego poety. W komunikacie 5% zdań i słów poświęconych było zmarłemu ponadlokalnemu jubilatowi, a 95 proc. miejscowym kandydatom na jubilatów. Redaktor, przeczytawszy komunikat, zapytał: „Proszę mi wybaczyć, ale nie rozumiem dobrze: „Kto to umarł — On czy panowie — i kto tu komu urządza jubileusz?"

Nie wiem, czy autor tej uwagi miał rację, zastrzegam się jednak w każdym razie przeciw posądzeniu, jakoby wypadek ten miał zdarzyć się we Lwowie.

Włodzimierz Jampolski

Lwów

Wieczór siódmy flirtu z Melpomeną

Naprzekór narzekaniom na brak krytyki teatralnej wydał Tadeusz Boy-Żeleński swój „siódmy wieczór flirtu z Melpomeną". Fakt ten nasuwa refleksję: jest jeszcze w Polsce krytyk teatralny nie lekceważący sobie swoich popremjerowych wrażeń i sądów. Zbiera je w książkę i przedkłada krytyce. Ciężar gatunkowy jego sądów o poszczególnych sztukach teraz widoczny jest jak na dłoni. Można je rozpatrzeć spokojnie metodycznie nawet, po profesorsku, choć pisane były z wyraźną tendencją do obrony zdrowego sensu, wbrew snobizmowi, wbrew nawykom, wbrew rutynie. Boy przychodzi do teatru bez żadnej doktryny. Patrzy na komedję ludzką, przemawiającą z desek sceny, pod kątem przeciętnego inteligentnego widza. Nie daje w siebie wmówić fałszywego patosu, broni się przed wesołością teoretyków eksperymentu teatralnego. Stosunek jego do polskiej, jak i zagranicznej dramaturgji jest jednaki: nie znosi blagi. Wrażliwość jego, wychowana na dobrych wzorach racjonalistycznej, francuskiej szkoły, poddaje się tylko mocnej budowie sztuki, zręcznemu postawieniu typu czy charakteru ludzkiego, djalogowi, posuwającemu akcję i pełnemu wdzięku, dowcipu, pomysłowości....

Siódmy wieczór Melpomeny jest rewją premjer w teatrach warszawskich za sezony r. 1925 i 26 oraz 1926 i 1927! Mamy tu głos Boy'a o głupstewkach w rodzaju „Córka Króla Czekolady" i o dramaturgji koryfeuszów teatru, jak Szekspir, Fredro, Słowacki, Wyspiański. Rozpiętość tematów, poziomów, ambicji olbrzymia. Boy świetnie daje sobie radę z wszystkiemi temi zróżnicowanemi wartościami Umie bacznie patrzeć na grę aktorską, na pracę reżysera i dekoratora.

Jego zdrowy sens nie ulega nawet hypnozie sympatji osobistych. Po wystawieniu „Cyrulika Sewilskiego" przez były Teatr Bogusławskiego pisze on o eksperymentatorstwie kierowników tej sceny:

„W zdawkowej interpretacji tego pojęcia mieści się cały kompleks nieporozumień. Uchodzi za pomysłowość to, co jest najuprzykrzejszym szablonem. Uchodzi za oryginalność to, co najczęściej jest naśladownictwem".

Miłe jest też w książce Boy'a przeciwstawienie się mumifikacji różnych naszych „mistrzów", „wielkości", „powag". Rzetelna praca nie potrzebuje takich namaszczeń. Mamy jednak u nas i inny ton, przeciwległy. Znamy różne oślątka, harcujące po cudzej zasłudze i dobrej sławie. Przydałoby się, żeby Boy zajął się również tą odwrotną stroną medalu. Śmieszny jest kaznodzieja w teatrze, przeszkadza w pracy niemniej i rozbrykany, nieodpowiedzialny, niepoczytalny kabotyn.

„Siódmy wieczór Melpomeny", miejmy nadzieję, spotka się z żywą, wszechstronną dyskusją autorów dramatycznych, aktorów, reżyserów, ekseperymentatorów. Oto jest krytyk teatralny, nie lękający się opinji o swoich „flirtach z Melpomeną".

F.

Ze świata filmu

NOWY WIELKI FILM POLSKI

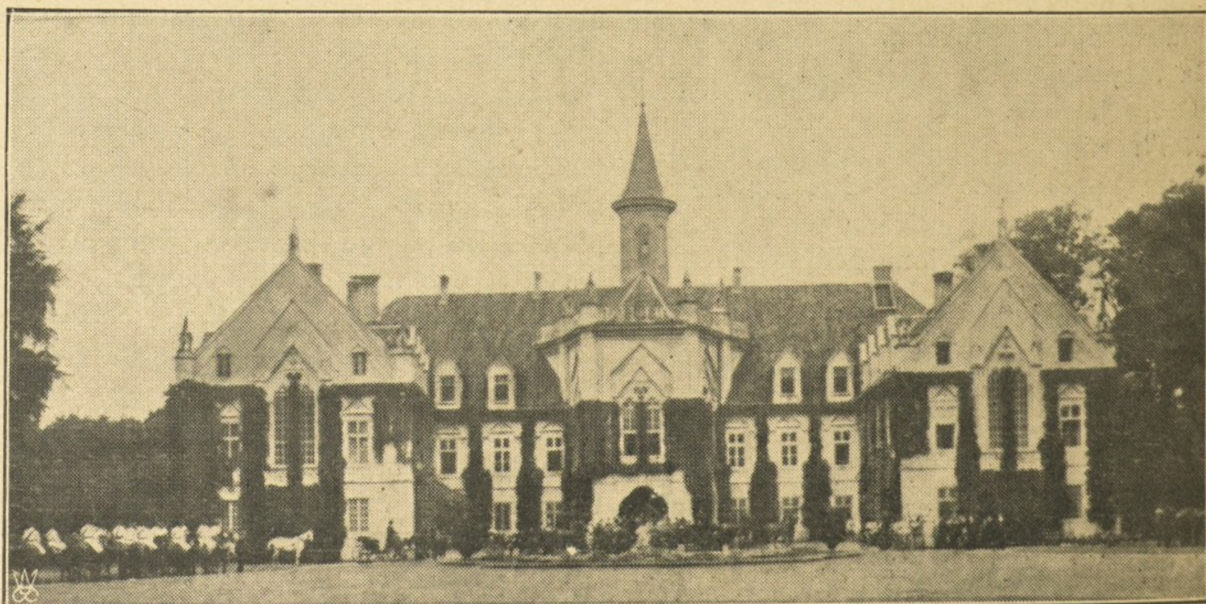
„Mogiła Nieznanego Żołnierza" zawdzięczać będzie swe powodzenie p. Ryszardowi Ordyńskiemu, który, jako reżyser i inscenizator, wykazał niepowszedni talent i umiejętność. Scenarjusz, przerobiony ze znanej, świetnej powieści Andrzeja Struga, nie należy do najlepszych. Ciąży na nim faktura powieściowa, akcja gubi się często w zbytecznych szczegółach, które rozpraszają i nużą uwagę widza. W nowoczesnych scenarjuszach filmowych uwydatnia się tendencja do syntetyzowania treści, do pogłębienia jej przez koncentrowanie najważniejszych momentów i wydobywanie z nich wszystkich emocjonalnych walorów. Również i obsada głównych ról nie była całkowicie szczęśliwą. W Polsce panuje wciąż mniemanie, że dobry aktor dramatyczny jest najpewniejszym aktorem filmowym. Z tym przesądem trzeba zerwać, trzeba szukać artystów filmowych po za teatrem, przedewszystkiem w środowiskach sportowych. Z wykonawców ważniejszych ról w „Mogile" należy wymienić p. Gorczyńską, która doskonale odtwarza postać ks. Tuchanowowej, oraz p.p. Waltera i Justjana, pierwszego, jako pełnego humoru ordynansa, drugiego, jako tchnącego niesamowitą siłą komisarza bolszewickiego.

Najistotniejszą wartość nowego filmu stanowi pomysłowa reżyserja Ordyńskiego, sprawność w operowaniu masami, malarskie ujmowanie poszczególnych obrazów. Znakomicie realizowane są zwłaszcza sceny wojenne: tutaj nasz żołnierz okazał się najlepszym aktorem filmowym, bijącym na łeb na szyję zawodowych protagonistów teatralnych. Atak na bagnety zostanie z pewnością każdemu w pamięci, tak samo epizody artyleryjskie. Z wielkim temperamentem uchwycone są sceny rewolucyjne, rabunek dworu magnackiego, tragiczne momenty bolszewickiego teroru: niektóre z nich grzeszą nawet przesadnym realizmem.

„Mogiła Nieznanego Żołnierza" świadczy o dużym wysiłku, świadomym już swoich celów i środków, i w naszej dotychczasowej wytwórczości filmowej zajmie niewątpliwie poczesne miejsce. Film ten jest jednym dowodem więcej, że polska wytwórczość kinematograficzna mogłaby mieć pomyślne szanse rozwoju, gdyby doznała poparcia ze strony czynników rządowych i finansowych. P. minister skarbu baczy pilnie, aby import zagranicznych towarów redukować,aby zastępować obce produkty własnemi. Czemuż nie dopomoże skuteczniej nowemu przemysłowi, który wszędzie na Zachodzie jest źródłem olbrzymich dochodów, a u nas jest traktowany wciąż po macoszemu. Tymczasem ekrany naszych teatrów świetlnych wypełnione są obrazami cudzoziemskiemi, za które zagranica wybiera z Polski ogromne sumy. Jeśli dodać, że wśród tych obcych obrazów nierzadkie są takie, które służą obcym interesom, gdy obrazy polskie stanowią prawie zawsze dodatnie widowiska dla naszych szerszych warstw, — dziwić się należy tej obojętności, z jaką wytwórczość polska musi wciąż walczyć.

K.

POŻAR MAGNACKIEJ REZYDENCJI



Pałac w Dzikowie, własność hr. Tarnowskiego, który padł w tych dniach pastwą pożaru

ŚWIAT

Pod Naczelnem Kierownictwem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

WPROWADZA W ROKU 1928 (23-m ISTNIENIA CZASOPISMA) ZNACZNE ULEPSZENIA - - - - POD WZGLĘDEM GRAFICZNYM - - - -

ŚWIAT będzie dawał ILUSTRACJE WKLĘSŁO DRUKOWE I BARWNE. Reprodukcje kolorowe z dzieł sztuki polskiej i obcej. - - - - - - -

ŚWIAT będzie powiększał objętość. - - - - - - -

ŚWIAT ofiaruje swym czytelnikom premja książkowe pierwszorzędnej wartości.

ŚWIAT pod względem doboru treści, żywotności i pomysłowości nie da się wyprzedzić nikomu. - - - - - - - - -

ŚWIAT nie przestanie być najpopularniejszym i najbardziej rozpowszechnionym w Polsce tygodnikiem.

Z dniem 1 Stycznia 1928 r. rozpoczniemy druk nowej powieści ZOFJI NAŁKOWSKIEJ pod tyt.

„NIEDOBRA MIŁOŚĆ"

Równocześnie będziemy drukować najbardziej interesujące rozdziały z drugiej części nie wydanych jeszcze

PAMIĘTNIKÓW STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO,

mianowicie dotyczących pobytu wielkiego pisarza w Krakowie, okresu „Młodej Polski".

Prócz tego mamy w tece fascynujące powieści i nowele cudzoziemskie.

Wszystkie ważniejsze sprawy i zagadnienia będą, jak zawsze, omawiane i oświetlane przez najwybitniejszych publicystów i literatów polskich.

By zaś uprzytomnić naszym Czytelnikom, jacy pisarze zasilają „ŚWIAT" swem piórem, wymienimy nazwiska tych autorów, z którymi spotykali się na szpaltach naszego pisma w roku ubiegłym, a których współpracownictwo mamy zapewnione nadal:

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI, BREITER EMIL, BOYE EDWARD, BARTKIEWICZ ZYGMUNT, CZEKALSKI EUSTACHY, CZEMPIŃSKI JAN, CHRZANOWSKI LEON, EJSMOND JULJAN, GÓRSKI ARTUR, GIEŁŻYŃSKI WITOLD, GRUBIŃSKI WACŁAW, GERMAN JULJUSZ, DR. KASTERSKA M., KISIELEWSKI ZYGMUNT, KRZYWOSZEWSKI STEFAN, KONAR A., LEPECKI M. B., LORENTOWICZ JAN, LEDNICKI A, MAKUSZYŃSKI KORNEL, NEUFELD BRONISŁAWA, NAŁKOWSKA ZOFJA, ORDYŃSKI RYSZARD, OSSENDOWSKI FR. A., PERZYŃSKI WŁODZIMIERZ, PAWLIKOWSKA MARJA, SZYLLER STEFAN (architekt), STRZELECKI J. K., SIEROSŁAWSKI STANISŁAW, SZPOTAŃSKI ST., SAMOZWANIEC MAGDALENA, SZUKIEWICZ WOJCIECH, SIEROSZEWSKI WACŁAW, STERN ANATOL, SZANIAWSKI JERZY, TETMAJER K., TRETER MIECZYSŁAW, VYDRA B., WORONIECKI EDWARD, BOY-ŻELEŃSKI TADEUSZ.

POD WZGLĘDEM GRAFICZNYM „ŚWIAT" W ROKU 1928 BĘDZIE DĄŻYŁ DO ZRÓWNANIA SIĘ Z NAJLEPSZEMI WYDAWNICTWAMI ZAGRANICZNEMI TEGO TYPU

JAKO PREMJA „ŚWIAT" OFIARUJE SWYM PRENUMERATOROM

12 TOMÓW - - - WYBRANYCH Z „KOMEDJI LUDZKIEJ" H. BALZAKA W NIEZRÓWNANYM PRZEKŁADZIE - - - BOYA-ŻELEŃSKIEGO

(JEDEN TOM MIESIĘCZNIE) PO CENIE NIEPRAWDOPODOBNIE NISKIEJ: KUZYN PONS, KOBIETA PORZUCONA, PIERWSZE KROKI, KRÓL CYGANERJI, FAŁSZYWA KOCHANKA, DZIEWCZYNA O ZŁOTYCH OCZACH, KSIĘŻNA DE LANGEAIS, FERRAGUS, KONTRAKT ŚLUBNY, KOBIETA TRZYDZIESTOLETNIA, „CHŁOPI" (2 TOMY).

MIMO ZWIĘKSZONYCH ZNACZNIE KOSZTÓW

NIE PODWYŻSZAMY CENY „ŚWIATA"

PRENUMERATA „ŚWIATA" WYNOSIĆ BĘDZIE TYLKO:

W WARSZAWIE: MIESIĘCZNIE 4.80
NA PROWINCJI: „ 5.—

ŁĄCZNIE Z DZIEŁAMI BALZAKA (JEDEN TOM MIESIĘCZNIE OD 160 DO 400 STRON DRUKU)

W WARSZAWIE: MIESIĘCZNIE 7.30
NA PROWINCJI: „ 7.50



Najlepsi z „najlepszych" narciarzy zakopiańskich odpoczywają przed aparatem fotogr. w czasie marszu treningowego



Treningowy „spacer" nad granicą Giewontu do Krzyża

O sporcie i o innych „rzeczach"

Marsz d'Esperey w Zakopanem — Pracowity dzień —Etnografja zwycięża — Ośrodek narciarski robi furorę — Nieudany podwieczorek — Uroki zakopiańskie — Na dolinach dzwonią gongi bokserskie.

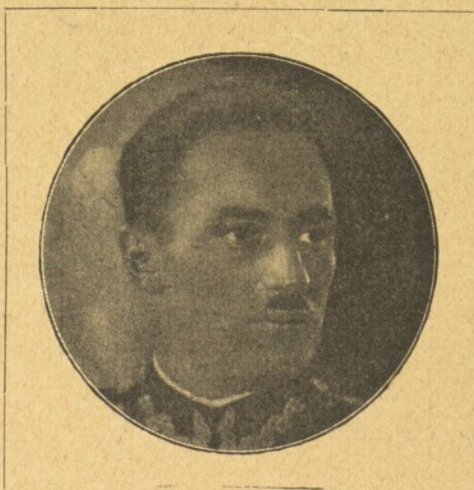
Prawie bez żadnego echa w prasie przeszedł ciekawy pod pewnemi względami pobyt marszałka Franchet d'Esperey w Zakopanem. Chociaż „działo się" to kilkanaście dni temu, nie zrażeni jednak nieaktualnością tematu, chcemy przypomnieć ten dzień gościnności zakopiańskiej.

Marszałek d'Esperey przyjechał do Zakopanego prawie o świcie, bo o godz. 6 m. 10 rano w wagonie salonowym. Towarzyszył mu Szef Misji Wojskowej Francuskiej w Polsce gen. Charpy, wielki wielbiciel tej podtatrzańskiej miejscowości, wywołującej na samo wspomnienie u niektórych naszych zblazowanych, krajowych snobów dziwny grymas znudzenia i pogardy. Jeszcze trwają u nas niestety „tradycje" Nizzy i „Jasnego Brzegu"... A gen. Charpy, rodowity francuz, bardzo lubi Zakopane, jakby naprzekór właśnie tym dystyngowanym „wojażerom"! To też nie omieszkał zapoznać z nim swego marszałka, który podzielił w zupełności jego zapatrywania. Lecz o tem pomówimy później.

Na dworcu powitali gości przedstawiciele władz miejscowych: kom. Gminy p. Starosolski, gen. Wróblewski, gen. Przeździecki, oficerowie bawiący w Zakopanem, oraz p. Rożecki z żoną, były oficer armji francuskiej, kawaler wielu orderów, który stracił wzrok w czasie walk na froncie francuskim.

Po przyjęciu na dworcu goście udali się na śniadanie do Bristolu. Teraz właśnie następuje jeden z tych charakterystycznych szczegółów. Mianowicie, pierwszą rzeczą, którą gen. Charpy pokazał marszałkowi, było Muzeum tatrzańskie im. dr. Chałubińskiego... Francuski wielbiciel Zakopanego orjentuje się świetnie, gdzie należy szukać kulturalnych i ciekawych danych, stanowiących największą wartość Podhala i jego okolicy. Nie będzie tą „osobliwością", zwracającą uwagę na Zakopane - uzdowisko, jakiś Bristol, czy inna „elegancka" kamienica na Krupówkach, nie, generałów francuskich zainteresowały przedewszystkiem etnograficzne zbiory, stanowiące pełny obraz wysokiej kultury ludowej góralszczyzny.

Oprowadzany po muzeum przez dyr. Zborowskiego, marsz. d'Esperey z nadzwyczajnem zainteresowaniem oglądał wyroby i sprzęty góralskie, znajdujące w nich bardzo ciekawe podobieństwo do sztuki zdobniczej Wschodu, który poznał



Kapitan Łucki, kierownik zimowego ośrodka olimpijskiego w Zakopanem

w czasie wielkiej wojny, jako głównodowodzący sił sprzymierzonych na froncie wschodnim.

Gdyby nie ściśle ułożony program pobytu w Zakopanem, ograniczony tylko do jednego dnia, poświęciłby marszałek daleko więcej czasu muzeum, którego zabytkami i rolą, jaką odgrywa na Podhalu, bardzo był zainteresowany, dając tem dowód swej wielkiej, przysłowiowej już kultury francuskiej.

Z muzeum udali się goście pięcioma powozami do doliny Kościeliskiej. Piękny, pogodny dzień, dość rzadki o tej porze w Zakopanem, odsłonił przed nimi cały wspaniały pejzaż tatrzański.

Po powrocie z dol. Kościeliskiej przyjmował marsz. d'Esperey obiadem w Bristolu grono zaproszonych osób. Kom. Starosolski wręczył mu pamiątkowe album z fotografjami Tatr i ciupagę góralską. Upominki te sprawiły mu wielką radość, a specjalnie oryginalna w swej formie ciupaga.

W drodze do doliny Strążyskiej, dokąd udano się na spacer po obiedzie, zainteresował się marsz. d'Esperey stylem zakopiańskim drewnianych willi.

Budownictwo drewniane do tego stopnia zwróciło jego uwagę, że zwiedził wnętrze willi „Dzitki" wpisując się do księgi pamiątkowej. Wyraził ochotę zamieszkania w drewnianej willi wrazie następnego swego pobytu w Zakopanem.

Jeszcze jedno zdumienie oczekiwało marsz. d'Espereya. Mianowicie w hotelu Polonia (daw. Turystówka), urządzono pokaz gimnastyczny olimpijskiego ośrodka narciarskiego. Marszałek był zachwycony świetną kondycją fizyczną zarówno wojskowych zawodników, jak i cywilnych.

Pokaz gimnastyczny udał się doskonale. Trudno zresztą, żeby się nie udał, gdy od października każdy z olimpijczyków, jak spartanin jaki, kształtuje swe ciało i wolę do zwycięstwa.

Marszałek d'Esperey posunął do tego stopnia swój podziw dla narciarzy zakopiańskich, że sam własną ręką sprawdzał ich muskuły, łydki, ramiona, ku radości kierownika ośrodka olimpijskiego kpt. Łuckiego, który, całą duszą oddany przygotowaniu naszej narciarskiej drużyny olimpijskiej, w podziwie marszałka otrzymał najmilszą nagrodę za swoją pracę.

Zaznajomiwszy się z programem i systemem treningów i ćwiczeń ośrodka zimowego, gość francuski, przyznajmy, był zaskoczony naszą organizacją sportową, której zresztą trudno było się u nas do tej pory spodziewać. W ciągu roku naprawiliśmy wiele błędów z niedawnej przeszłości i zaczynamy nawet imponować w niektórych szczegółach.

Ale bo też ośrodek pracuje! Jeszcze Zakopane narciarskie nie widziało dotąd czegoś podobnego: gimnastyka, gry sportowe, lekkaatletyka, biegi i marsze w terenie, stała opieka lekarska, masaże i dożywianie zawodników w postaci obiadów i kolacji. To też można być pewnym, że poziom naszego narciarstwa podniesie się w tym roku conajmniej o klasę.

Aby dopełnić wrażenia marsz. d'Espereya, wywiezione z Zakopanego, miał być zorganizowany w restauracji Trzaski podwieczorek z muzyką i tańcami góralskiemi. Tymczasem stała się rzecz bardzo brzydka, której winę ponoszą niestety górale zaproszeni na ten podwieczorek. Marsz. d'Esperey czekał, czekał i — nie doczekał się orkiestry góralskiej, która zjawiła się już po niewczasie.

Podobno jedna z zapomnianych i usuniętych do dzisiaj w cień „osobistości" zakopiańskich, dowiedziawszy się o tym podwieczorku, „wyraziła się": a no niech pokazom, co potrafiom...

Nieudany pokaz tańców i muzyki góralskiej jakoś dziwnie „zgadza się" z tem tajemniczem zdaniem...

Postawmy wielokropek nad tą całą sprawą, nie przynoszącą zaszczytu zakopiańskiej góralszczyźnie.

Mimo niesłowności i niepunktualności „muzykantów", wyjechał marsz. d.Esperey zachwycony Zakopanem, które dawno już nie gościło u siebie tak cennego i ciekawego pod względem zainteresowań cudzoziemca. Marszałek zainteresował się Podhalem i wszystkiemi szczegółami i „drobiazgami" jego życia w niekłamany sposób. Dużą rolę w tem odegrał prawdopodobnie sentyment gen. Charpy do Zakopanego, które niejednokrotnie odwiedzał.

Goście wyjeżdżali w doskonałym nastroju, twierdząc, że dawno już nie czuli się tak swobodnie, bez sztywności „towarzyskich" i śmiertelnych oficjalności.

Zakopane ma swój urok przyciągający, którego nie znajdzie się w żadnej innej miejscowości polskiej.

*

A tymczasem na dolinach dzwonią gongi bokserskie!

Sport polski na dolinach zamiera w zimie. Śniegu niema, mrozu na lekarstwo, krytych hal, gdzie możnaby trenować lekkąatletykę, tenis, czy kolarstwo, też niema. To też boks rośnie, jak na drożdżach, tembardziej, że ulica dostarcza aż za dużo materjału na publiczność bokserską.

Jeden charakterystyczny szczegół: największą popularność zdobywa boks w zachodnich województwach: Śląsk, Poznańskie, Pomorze i w ośrodkach fabrycznych: np. Łódź.... Każde środowisko legitymuje się dzisiaj swoim ulubionym sportem. Tam boks roztacza swoje uroki.

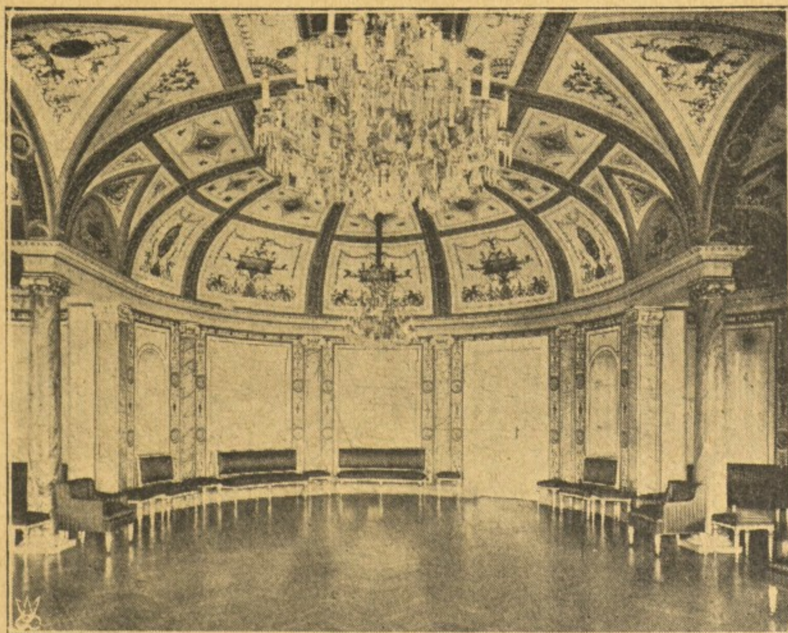
R.

40-LECIE PRACY PUBLICYSTYCZNO-DZIENNIKARSKIEJ



Józef Hłasko, znany publicysta, dziennikarz, działacz narodowo-demokratyczny, współredaktor „Gazety Porannej Warszawskiej", uroczyście obchodził jubileusz 40-lecia swojej pracy. Ku czci jego współtowarzysze urządzili bankiet, który zgromadził najwybitniejszych przedstawicieli prasy, literatury i polityki

W Nr. 51 „Świata", w artykule opisowym Hotelu Europejskiego w Warszawie, nie pomieszczono omyłkowo fotografji pięknej Sali Pompejańskiej tegoż Hotelu. Pomieszczamy ją poniżej. Nadto przez przeoczenie zecerskie opuszczono nazwisko Dyrektora Zarządzającego Hotelu p. Bolesława Kosińskiego, dzięki którego nadzwyczajnej zapobiegliwości energji i owocnej pracy Hotel tak znakomicie prosperuje.



Sala balowa „Pompejańska", malowana przez Marconiego i Strzałeckiego

SAMOCHODY ELCAR



P. Feliks Krzypkowski, generalny przedstawiciel samochodów Elcar na Polskę

W kołach sportowo-automobilowych wywołuje bardzo żywe zainteresowanie nowa marka samochodu, który w najbliższej przyszłości ma się pojawić na targu polskim. Jest to samochód amerykańskiej produkcji, wykwintny wytwór fabryki Elcar Motor Company z miasta Elkhart w stanie Indiana U.S.A. Samochody Elcar różnią się jednak bardzo znacznie od przeciętnej produkcji amerykańskiej, przedewszystkiem tem, że prawie wszystkie ich części składowe nie pochodzą z pod sztancy, nie są więc wytworem typowej amerykańskiej masowej produkcji. Dzięki temu konstrukcja motoru i ram podwozia jest nieporównanie dokładniejsza, co znów zapewnia samochodom Elcar wyjątkową trwałość.

Pod względem więc technicznego wykonania samochody te stoją na najwyższym poziomie i bez obawy wytrzymać mogą konkurencję z najlepszemi i najbardziej znanemi markami samochodowemi. Poza innemi wybitnemi zaletami odznaczają się również znaczną oszczędnością w zużywaniu paliwa, co zwłaszcza przy dużych kursach, do jakich są dostosowane, jest ważnym szczegółem. Są to zatem samochody praktyczne w całem tego słowa znaczeniu.

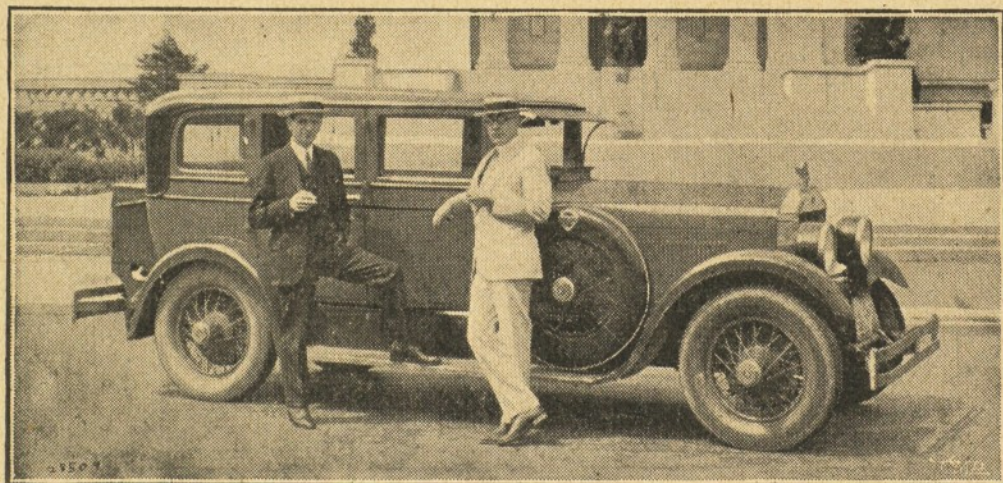
Bardzo dużą wagę przywiązuje fabryka Elcar do estetycznego wyglądu produkowanych przez się samochodów. Linje karoserji są wykwintne i szlachetne, a pod względem tego zewnętrznego wyglądu samochody Elcar wytrzymują porównanie z najdroższymi na świecie wozami znanej angielskiej marki Rolls-Royce, chociaż są od nich o 75 procent tańsze. To też nie można się dziwić, że cieszą się coraz większem uznaniem świata automobilowego zarówno w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, jak i w zachodniej Europie, uważane słusznie za najbardziej wytworny typ samochodu.



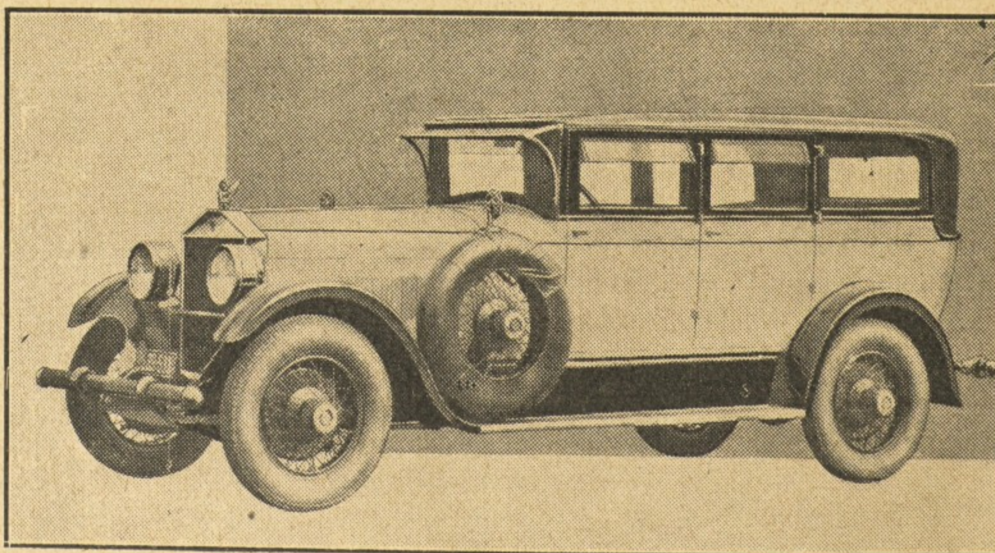
P. B. SEARS, President Elcar Motor Company.

Wyjątkowe zalety techniczne i estetyczny wygląd zapewniły samochodom Elcar najwyższe nagrody na licznych międzynarodowych konkursach i wystawach. Niejednokrotnie też zdały już wozy Elcar praktyczny egzamin w dziedzinie wytrzymałości i solidności konstrukcji. Niedawno temu jeden z samochodów E l c a r odbył znowu niezwykle długą podróż, przebywając przestrzeń przeszło studwudziestu siedmiu tysięcy mil amerykańskich bez najmniejszych uszkodzeń technicznych motoru i karoserji.

Generalne przedstawicielstwo samochodów Elcar na Polskę objął p. Feliks Krzypkowski w Warszawie (ulica Służewska Nr. 3).

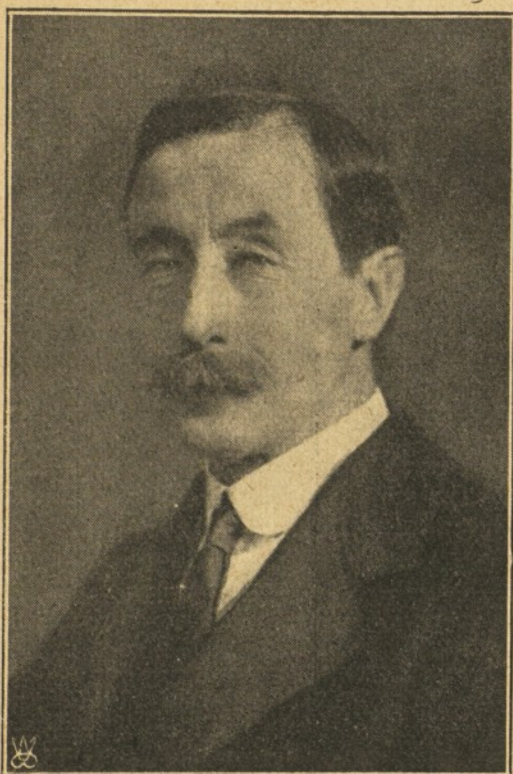


Samochód Elcar



Samochód Elcar

ZMIANA NA STANOWISKU DYPLOMATYCZNYM



Nowomianowany poseł angielski w Polsce p. William Erskine, dotychczasowy poseł w Bułgarji

Przemysł krajowy

W okresie świątecznym i karnawałowym, w dnie ogólnego wesela i radości nie wolno nam ani na chwilkę zapominać, że wszystko, co potrzebujemy nawet do najwystawniejszego urządzenia przyjęć, posiadamy w kraju. Ileż to w czasie karnawału bufetów balowych wypełnionych jest po brzegi konjakami zagranicznemi, chyba tylko dlatego, że to zagraniczne. Tymczasem w kraju na Pomorzu w Stargardzie, posiadamy fabrykę oryginalnych konjaków, istniejącą już od 1846 r., znaną nietylko u nas w kraju, ale i zagranicą. Prawdziwy smakosz i znawca konjaku zawsze wyżej stawia „Jubileuszowy" Winkelhausena, aniżeli każdy inny konjak zagraniczny. Oprócz konjaków wyrabiają Zakłady Przemysłowe Winkelhausen Tow. Akc. — winiaki mieszane, rumy, araki, whisky i najrozmaitsze likiery, konkurujące z analogicznym towarem zagranicznym nietylko w kraju, ale i zagranicą, co świadczy o najwyszukańszej jakości i popularności tych wyrobów.

Wyroby firmy Winkelhausen są stale nagradzane najwyższemi odznaczeniami nietylko w Polsce, ale prawie we wszystkich krajach Europy. Szanujmy więc obce, ale popierajmy swoje i bądźmy dumni ze swego.

Z dziedziny kosmetyki lekarskiej

Pudry podzielić można na 2 kategorje. Pudry stosowane w życiu codziennem i pudry zawierające środki lecznicze. Największą zaletą pudrów jest brak w nich składników trujących, które tak często spotykamy w reklamowanych pudrach. Monin podaje następujący przepis na puder. „Talku weneckiego i kwiatu ryżowego po 2 części; proszku alabastrowego 1 część i nieco perfum dla zapachu". U Cerbelaud'a znajdujemy przepis jak poniżej: „Kaoliny b. białej i czystej 50,0; proszku alabastrowego 80,0; mąki ryżowej 40,0. węglanu magnezji 30.0; kumaryny i Muscusu po 0,1". Vancaire zaś chwali następujący skład pudru: „Talku weneckiego po 20,0; likopodyum tyleż. Taniny i kwasu bornego po 5,0; olejku paczulowego dla zapachu". Gastu podaje następujący przepis na puder Rachel: „Muskusu sztucznego w dużych kryształach 0,5 kumaryny w kryształach 4,0, Heliotropiny 3,0 waseliny 3,0, olejku bergamotowego 6,0, olejku różanego 0,25. Nevali 0,25, Ivozolu 1,0, wyciągu Ylany-Ylany 5,0; wyciągu jaśminowego 5,0, Talku weneckiego 100,0, Kaoliny barwionej 150,0, węglanu magnezji 50,0 pudru z korzenia kosacca 400,0, mąki kartoflanej 100,0, mąki ryżowej 200.0, ziemi Seńskiej 5,0". Z gotowych pudrów dobrym jest puder Malinowskiego, który mamy w 4 kolorach. Pudru nie powinno się stosować na samą skórę, natomiast przed pudrem powinno się przetrzeć twarz odpowiednim dla danej skóry kremem. Na skórę suchą należy stosować krem tłusty np. „Neutre", na tłustą zaś krem beztłuszczowy—suszący jak np. „Abarid". Następnym razem pomówimy o pudrach leczniczych.

Dr. med. Feliks Rostkowski

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś. p. Alfred Freyer, znany lekkoatleta polski, dnia 21 b. m. zginął śmiercią tragiczną podczas pożaru w Dzikowie

OD ADMINISTRACJI

Wobec konieczności unormowania nakładu naszego wydawnictwa na rok przyszły, uprzejmie prosimy Szanownych PP. Prenumeratorów o jaknajśpieszniejsze przekazanie należności za miesiąc styczeń lub kwartał I-szy 1928 roku

Z KONCERTU CHÓRÓW KOŚCIELNYCH W POZNANIU



Ks. dr. Bronisław Gładysz, prezes, i komp. Feliks Nowowiejski, dyrektor artyst. Związku Chórów Kościelnych m. Poznania, który w miesiącu bież. wystąpił z koncertem inauguracyjnym w auli uniwersytetu. Koncert z udziałem wybitnych sił artystycznych, na którego program składały się m. i. utwory Palestriny, Zieleńskiego (XVII r.) i Bacha, cieszył się wielkiem powodzeniem

P. Konstanty Stanisław Rymowicz, prokurent, amerykańskiej fabryki najwykwintniejszych luksusowych automobilów marki ELCAR, w imieniu własnym oraz Zarządu fabrycznego ELCAR MOTOR COMPANY, niniejszem składa Noworoczne Życzenia wszystkim swym przyszłym klijentom i znajomym w Polsce, z okazji czego p. Rymowicz na ręce Redakcji naszego pisma przesłał czek American Express Company, na sumę dziesięć dolarów ameryk., na cele dobroczynne. Powyższą sumę w myśl życzeń p. R. przeznaczyliśmy do dyspozycji Komitetu „Rodzina Wojskowa", na czele którego stoi Pani Marszałkowa Piłsudska.

OD REDAKCJI

Korzystając z okazji przesłanego do nas powinszowania, niniejszem donosimy, że p. K. S. Rymowicz obecnie przybył ze Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, gdzie zajmuje stanowisko prezesa The United Import Film Corporation, a jednocześnie jest znanym w Warszawie z wyprodukowanego w swoim czasie niepospolitego filmu historycznego pod tytułem Tragedja Rosji. Do Europy przyjechał ostatnio jako generalny dystrybutor-prokurent kilku poważnych amerykańskich fabryk, w celach wyznaczenia reprezentantów, oraz zorganizowania placówek handlowych dla niżej wymienionych fabryk:

1) Elcar Motor Company, fabryka najwykwintniejszych samochodów luksusowych, 2) Clinton Motors Corporation, fabryka najwytrwalszych wozów i podwozi ciężarowych, 3) Underwood Company, fabryka najlepszych suchych baterji elektrycznych do radio, samolotów, pulmanowskich wagonów i t. d., 4) Knickerbocker Company, fabryka specjalnych asbesto-cementowych farb-smoły do uwiekowiecznienia dachów, oraz wszelkiej budowy i podziemnych kabli, w celu kompletnego zabezpieczenia takowych od ognia, pożaru, jak również zepsucia się od wilgoci i t. d., 5) The Paragon Insulating Company, fabryka specjalnej pasty i soli zastępujących kompletnie niebezpieczne kwasy solne w przemyśle technicznym, przy lutowaniu i pobielaniu metalów. 6) Sani Products Company, fabryka specjalnych materjałów do lutowania aluminjowych wyrobów, oraz wszelkich innych metalów jak to stali, miedzi, bronzy, żelaza i t. d., 7) Watrbury Button Company, fabryka Radio-aparatów i wszelkich części do radio-aparatów. Ponieważ niewątpliwie kogoś z naszych czytelników zainteresuje nawiązanie stosunków handlowych z tą lub inną wyżej wymienioną amerykańską fabryką, chętnie podajemy tu stały warszawski adres p. Rymowicza, chwilowo bawiącego w Warszawie. Ul. Nowosenatorska 8. Tel 511-11.

Luksusowe wydawnictwa gwiazdkowe

W Poznaniu wydano niezmiernie poczytne, wesołe opowiadania Kornela Makuszyńskiego p. t. „Bezgrzeszne lata" z ilustracjami art. malarza K. Mackiewicza. Gdy książka ta ukazała się poraz pierwszy na rynku księgarskim, doznała nadzwyczaj ciepłego przyjęcia. Nakład rozchwytano w dwa tygodnie. Makuszyński opowiada w niej swoje lata szkolne. Szczególnie wesołe są stronice poświęcone wspomnieniom teatralnym. Rysunki K. Mackiewicza świetnie podnoszą i uzupełniają humor autora. Z ilustracjami tegoż artysty, dziś bezkonkurencyjnego prawie, jako rysownika, wydano prześliczną sielankę Marji Rodziewiczówny p. t. „Lato leśnych ludzi". Książka ta pełna jest przepięknych opisów przyrody i doskonale nadaje się na prezent dla naszej młodzieży szkolnej.

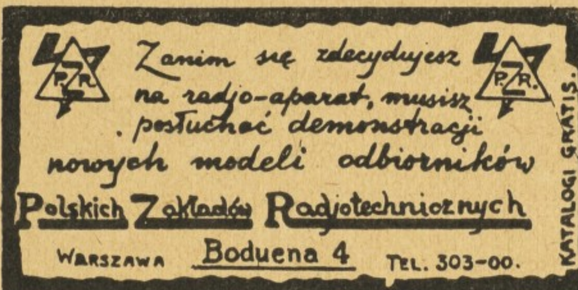
TAM KUPUJCIE!













NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI UBIEGŁEGO TYGODNIA

SPRAWY PAŃSTWOWE

Na rozbudowę polskiej floty handlowej przeznaczyła Rada Ministrów kredyt 1.500.000 zł. Niestety, jest to kropla w morzu.

Traktat handlowy łotewsko-polski podpisany w Rydze na zasadach największego uprzywilejowania. Ustalono również kontyngenty eksportowe.

Wśród stronnictw prawicowych brak porozumienia w sprawach wyborów. Różnice programowe bardzo znaczne. *Utworzony już blok mniejszościowy* załamał się, bo i część żydów i część niemców odmawia w nim udziału, a o jednolitości ukraińców także niema mowy.

Urzędnicy administracyjni nie mogą kandydować do Sejmu czy Senatu w okręgach wyborczych, gdzie pełnią służbę. Przypomniał to minister spraw wewnętrznych w ogłoszonym okólniku.

SPRAWY POLSKIE

Sprawę wileńską wywlekają znowu na plan pierwszy rządowe koła litewskie w związku z zapowiedzianemi rokowaniami polsko-litewskiemi.

Decyzji Rady Ambasadorów w sprawie Wilna nie zmieniło rozstrzygnięcie Rady Ligi Narodów — oświadczyli p. Waldemarasowi posłowie angielski i francuski. Może go to przekona, że fałszywie interpretuje rezolucję genewską.

W rokowaniach polsko-niemieckich przejawia Polska dobrą wolę. Korzystając z tego, chcieliby niemcy utargować jak największe zyski.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Powiększać swej floty nie zamierza Anglja — jak stwierdził w mowie tronowej król Jerzy V — chociaż rokowania w sprawie rozbrojenia nie doprowadziły dotąd do porozumienia.

Rokowania handlowe litewsko-niemieckie odbędą się w połowie stycznia. Przebieg ich zaważy niewątpliwie i na stanowisku Litwy względem Polski.

Konkordat Litwy ze Stolicą Apostolską został urzędownie ogłoszony. Zabezpiecza on prawa kościoła na Litwie.

Prusom wschodnim przyznał rząd Rzeszy wydatną subwencję na popieranie niemczyzny. W pierwszym rzędzie skorzysta z niej oczywiście hakata.

RÓŻNE

Trzy historyczne pałace spłonęły w ostatnich dniach w Polsce: Tarnowskich w Dzikowie, Dunin - Borkowskich w Młyniskach i rządowy pałac na Śląsku. Pastwą ognia padły cenne zbiory.

Amerykańska łódź podwodna „S—4" zatonęła. Załogi nie udało się ocalić; sześciu ludzi zginęło z braku powietrza przez uduszenie.

NAPAŚĆ NA ADOLFA NOWACZYŃSKIEGO

Adolf Nowaczyński padł ofiarą podstępnego, wstrętnego zamachu, który smutnie świadczy o sposobach naszych walk politycznych. Z jakiejkolwiek strony tego rodzaju metody sa stosowane, należy je jak najsurowiej potępić: są one zawsze objawem zdziczenia obyczajów i zaniku uczuć moralnych.

Stan zdrowia Nowaczyńskiego, mimo dotkliwych obrażeń i silnego wstrząsu nerwowego, nie budzi poważniejszych obaw.

Sprostowanie

W Nr. 51 „Świata" zamieszczono reprodukcję projektu pomnika Fr. Chopina z błędnym nazwiskiem autora. Jest nim p. *Józef Chmieliński*, znakomity artysta Teatru Narodowego i ceniony rzeźbiarz.

HUMOR ZAGRANICZNY



— *Kasjer uciekł mi!*

— *Z pieniędzmi?*

— *To był chłopak głupi, ale uczciwy. Uciekł z moją żoną...*

(Le Rire)

Redaktor odpowiedzialny St. KRZYWOSZEWSKI

Druk GALEWSKI i DAU, Warszawa